

OPINIE

Muszę powiedzieć, chociaż jestem tylko pisarzem, a nie politykiem, że to co się w Polsce dzieje nie wróży najlepiej. Odwrócono porządek rzeczy. Spodziewałem się, że najpierw odbędą się nareszcie wolne wybory do Sejmu, potem zostanie uchwalona konstytucja, a wreszcie odbędą się wybory prezydenckie. Stało się odwrotnie. Przypuszczam że to odwrócenie kolejności jest źródłem obecnych trudności politycznych. Nie widać też w Polsce wyraźnych struktur, a Sejm pochodzący z kontraktu „okrągłego stołu” nie jest autentyczny. Wszystko to powoduje, rzecz najgroźniejszą - obojętnienie społeczeństwa na politykę. Za tą obojętnością kryją się niechęć i podejrzliwość niebezpieczna dla procesu demokratycznego.

Gustaw Herling-Grudziński



BUKOWSKI
kontra
DRAWICZ
- rozmowa
s.6-7



A.BYRSKA
Prawda
lub
oszustwo
s.11-12



RAJSKOWSKI
Jaki
kapitalizm
przeżywa
s.13-14

SOLIDARNOSC WALCZĄCA



MIESIĘCZNIK NR 13 (281) ROK X LIPIEC 1991 r., cena 2000 zł

I znowu strzały, krew i zabici

I znowu za prawo do wolności, do niezależnego, niepodległego bytu płacić trzeba dziesiątkami istnień ludzkich. Czy aby demokratyczny świat, Europa, o której tyle, zawsze z dużej litery mówią nasi moralisci, zechciał uznać i wesprzeć wolnościowe dążenia Słowenów i Chorwatów, muszą ginąć ludzie. Czy krew i śmierć jest nadal jedynym argumentem pozbawionych swobód narodów?

Jugosławia była naznaczona piętnem rozpadu od chwili powstania. Królestwo Jugosławii utworzono na Konferencji w Wersalu w 1918 r. w nowym, nigdy nie znanym kształcie. Połączono ludzi o odmiennej kulturze, religii, przynależności państwowej, ludzi, którzy nie chcieli żyć w jednym państwie.

Słowenicy i Chorwaci od chwili powstania Jugosławii przejawiali silne dążenia do autonomii i niezależności. Partyzantka Ustaszów walczących z komunistami Tity w czasie II wojny światowej, tendencyjnie przedstawiana przez komunistyczną propagandę, to tylko jeden z przejawów tych dążeń. Byłem w Zagrzebiu i Lublaniu w 1975 roku, w czasie rozkwitu swoistego dobrobytu Jugosławii. Na murach tych miast nie ma było portretów Tity na szubienicy i napisów w rodzaju „Wolna Słowenia”, „Wolna Chorwacja”. Te dążenia uległy wzmocnieniu w ciągu ostatnich lat. Najlepiej rozwinięte, z już demokratycznymi przedstawicielstwami narody Słowenii i Chorwacji nie chcą być nadal podporządkowane komunistycznej Serbii odgrywającej dotychczas dominującą rolę.

Słowenicy i Chorwaci długo zwlekali z proklamowaniem niepodległości. Rozmawiali i pertraktowali. Stanowisko Serbii było jednak coraz bardziej sztywne. Tym bardziej, że za niepodzielną Jugosławią opowiedziały się wielkie demokracje zapominając taktownie o podstawowym prawie

narodów do samostanowienia. Takie były również reakcje wielu rządów na akt niepodległości. USA, EWG a także np. Polska zapowiedziały, że go nie uznają. Taka reakcja świata musiała zachęcić do agresji. Wojska Jugosłowiańskie, których korpus oficerski jest w 70% opanowany przez Serbów, przystąpiły do zajmowania Słowenii. Przeciwko nim stanęli kierownicy ciężarówek, policja, jednostki samoobrony i ludność. Ich opór zmusił świat do zmiany stanowiska. Dziś już mało kto kwestionuje prawo tych małych narodów do autonomii lub wręcz niepodległości. Ale czy zawsze potrzebne będą ofiary, krew?

Wśród tych, którzy zachowali się niczemnie, był również rząd RP. Min. Skubiszewski w pierwszym dniu konfliktu oświadczył, że Polska nie uznaje niepodległości Słowenii i Chorwacji. Czy takie stanowisko podzieli również dzisiaj?

W zasadzie ze zgodnego chóru cynicznych postanowień wyłamał się tylko Pa-

pież. Jan Paweł II od razu uznał prawo Słowenów i Chorwatów do niepodległości. Dlaczego jednak tylko on?

Za szczególnie haniebną uznać trzeba postawę rządu polskiego. Kraj, który tyle lat, z takim wysiłkiem, tylu pokoleń, dobijał się niezawisłości, powinien wykazać więcej zrozumienia dla wolnościowych aspiracji Słowenów i Chorwatów. Skubiszewski wybrał jednak tzw. pragmatyzm. Rację mają silni. Stabi muszą ustąpić, podporządkować się lub... ginąć.

Wczoraj w Wilnie, dziś w Słowenii, a jutro?

Niepodległa Polska nie udzieli im choćby moralnego poparcia. Tych, którzy zdecydowali się na protest, choćby poznańska SW przed konsulem ZSRS po masakrze w Wilnie, w imieniu Rzeczypospolitej sądzi się i grozi im więzieniem.

Maciej FRANKIEWICZ



Jugosłowiańska Armia Ludowa w okolicach Ljubljany

Nie będzie pełnej demokracji...

/rozmowa z Zofią Romaszewską/

SW: W jaki sposób ocenia Pani stan wymiaru sprawiedliwości w Polsce w świetle działań podjętych przez poznański Oddział Solidarności Walczącej i Partii Wolności — ujawnienia głębokich nieprawidłowości w działaniu prokuratury i sądów i podjęcia prób usunięcia ludzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy?

Zofia Romaszewska: Oceniam kadrę za-trudnioną w wymiarze sprawiedliwości źle, zarówno pod względem kwalifikacji zawodowych jak i przede wszystkim moralnych. Morale tej kadry jest złe, a świadectwo moralności w każdym normalnym państwie winno być wymagane od prokuratorów, a w szczególności od sędziów. Sędziowie, którzy podlegali różnego rodzaju naciskom i zgodzali się na nie, (na niektórych z nich wystarczyło tylko zmarszczyć brwi), w moim przekonaniu nie powinni być nadal sędziami. Te osoby mogą piastować inne zawody, lecz do tego zawodu, do zawodu sędziego konieczna jest niezależność, niezawisłość gwarantowana nie tylko przez ustawę ale również przez osobowość sędziego. Jeżeli natomiast ustawa przerasta możliwości charakterologiczne sędziów to robi się coś złego. W tym sensie działania podjęte przez naszą partię w sprawie weryfikacji sędziów i prokuratorów wydają mi się niezwykle ważną i poważną inicjatywą. Należy skoncentrować wszelkie środki, aby pokazać, że społeczeństwo nie godzi się jednak z tego typu sytuacją, w której ci sami sędziowie, którzy sądzili w stanie wojennym, którzy okazali się dyspozycyjni, mogą dalej sądzić. Wszystko jedno w jakiej sprawie i kogo. To jest obojętne, ponieważ każdy, kto stoi przed sądem, oddaje swój los i swoje życie na okres kilku lat w ręce takiego człowieka. Dlaczego taki człowiek może rozporządzać losem innych? W ogóle nie można mieć wątpliwości, co może Pan Bóg a co może człowiek, a już na pewno nie taki człowiek.

Czyli filozofia „grubej krechy” w zakresie reformy sądownictwa również poniosła fiasko?

Z.R.: Ja w ogóle uważam, że jest to dziwny rodzaj filozofii, ponieważ ludzie powinni odpowiadać za swoje czyny. Odpowiedzialność to nie jest prosta zemsta, to odpowiedzialność właśnie. Ja posiadam życie, posiadam określony życiorys, coś mi się udało, coś mi się nie udało i wobec tego powinienem w określony sposób postępować. Jeśli mi się nie udało, nie muszę być sędzią, mogę być kim innym równie pożytecznym. To na pewno nie jest koniec świata. Tak więc te osoby, które się skompromitowały powinny zostać zmniejszone — nie tylko w sądownictwie, ale wszędzie.

Jednakże partie polityczne czy inne organizacje społeczne nie powinny

zastępować organów wymiaru sprawiedliwości. To, co zostało ujawnione przez Solidarność Walcząca i Partię Wolności, to przypuszczam tylko wierzchołek góry lodowej. Takie przypadki zdarzały się na pewno w innych regionach, w innych miastach. Należałoby wypracować jakieś generane rozstrzygnięcia weryfikacji starych struktur.

Z.R.: Trzeba by było przyjąć inne rozwiązania niż te, które zostały przyjęte. I w tym sensie postawa Maćka (Frankiewicza - przyp. red) jest niezwykle interesująca i godna wszelkiego poparcia. Trzeba po prostu oddolnie porozumiewać się i próbować wymuszać weryfikację starych kadr. Każda władza się zmienia, a ta władza nie ma zamiaru nam tego dawać. Sejm jest w 65% nomenklaturowy i na razie, jak rozumiem, wyborów ma nie być. Dlaczego ten 65% Sejm i po dwóch latach rządzenia tzw. „nasi”, którzy bardzo głęboko zaplątali się w rozmaite układy, dlaczego oni wszyscy mają mieć ochotę do gwałtownego zmieniania czegośkolwiek? W tym momencie może się okazać, że oni nie mają na to żadnej ochoty.

Czyli generalnie można powiedzieć, że „okrągły stół” był błędem - opozycja nie zdołała do końca zmienić systemu, a system skompromitował opozycję.

Z.R.: Myślę, że nie. Myślę, że w tym momencie „okrągły stół” błędem nie był. Myślę, że wtedy, to była jedyna metoda spokojnego wzięcia, przynajmniej części władzy od komuny. A następnie kiedy komuna się rozleciała należało rozwiązać ten sejm i ogłosić wolne wybory. Oni mieli kwadratowe oczy ze zdziwienia, kiedy się okazało, że my tej władzy nie bierzemy, nie wyciągamy konsekwencji. Oni by byli bardzo szczęśliwi, gdyby im głów nie ścinano i gdyby udało im się uciec przynajmniej z częścią majątku. A myśmy zrobili coś niezwykłego. Wtedy się rozpoczęły manipulacje, machinacje pod tytułem, że niby obowiązuje „okrągły stół” i my mamy jakiś zobowiązania. Co tu mówić o zobowiązaniach, kiedy te wszystkie partie i ludzie w tych partiach co pięć minut zmieniają swoje przyrzeczenia. Mówienie o zobowiązaniach jest po prostu śmieszne, kiedy zapomina się o tych zobowiązaniach najbardziej pryncypialnych.

Twierdzi Pani, że przełomowym, niewykorzystanym momentem był rozpad PZPR. Czy potrafi Pani określić, dlaczego ów moment został niewykorzystany. Czy nie po to komuniści nie zawarli porozumienia z określoną grupą w opozycji aby ta później, gdy obejmie władzę nie wykorzystwała tego typu sytuacji?

Z.R.: Komuniści zawarli porozumienie z określoną grupą, jednakże podczas wyborów wszyscy w jakimś sensie udzielili tej

grupie mandatu zaufania. I w momencie, gdy ta grupa doszła do władzy powinna twardo egzekwować to co mówiła, to co obiecała. A tego nie robiono. Kiedy rozpadła się PZPR, nie zrobiono nic, a trzeba było przejąć jej majątek na rzecz skarbu państwa. Potem należałoby porządnie opracować pakiet ustaw policyjnych... Niestety, wszystkie nasze protesty rozbijały się jak groch o ścianę. Dlatego, że ten sejm nie miał zamiaru kręcić na siebie bafa. I ten sejm niczego, co jest dla niego niekorzystne, nie uzna. Jednocześnie przez te dwa lata kompetencje senatu zostały znacznie ograniczone (praktycznie nie prawnie). senat nigdy nie był zbyt bojowy, gdyż do niego dostały się głównie osoby z przeszłości kościelnej. Muszą powiedzieć, że każde ich działanie było skazane na niepowodzenie, a prasa w ogóle się nie interesowała, co senat naprawdę robi. Prasa zajmowała się tylko jego dyskredytowaniem. Przez pierwsze pół roku sejm w całej rozciągłości, szczególnie p. Geremek ze swoją grupą w OKP dyskredytował senat, a reszta nie wiedziała, co czyni. Zamiast pomagać kolegom w Senacie, żeby poszli całą grupą do przodu, nastąpiło pierwsze dzielenie — bardzo silne — pomiędzy sejmem a senatem, jakby sejm był w 100% „nasz”, a przecież nie był. W tym momencie było to straszne nieporozumienie, ponieważ należało się za wszelką cenę zjednoczyć i za pomocą senatu starać się wygrywać różne rzeczy.

Czy nie uważa Pani, że podstawowym błędem opozycji był brak moralnego przynajmniej rozliczenia się z komunizmem w sytuacji, kiedy wchodzi się w stare struktury by je reformować?

Z.R.: Ależ oczywiście, że tak! Doszło do kompletnego pomieszczenia dobrego ze złym. Nie należało doprowadzać do takiej sytuacji, żeby w beczce z gównem topić śliwki. Nawet jeśli Pan wleje połowę kompotu to i tak zostanie to samo. Nawet, jeżeli do kompotu wleje się trochę gówna, to i tak się zabrudzi. Nie należało tego robić, tylko spokojnie odzielać, odzielać... I zapewniam Pana, że nic by się strasznego nie stało. A przede wszystkim należało robić to, czego nikt nie robi — wciągać do rządzenia ludzi, oczywiście tych ludzi, którzy przejawiają tym zainteresowanie. Nie każdy przecież lubi interesować się życiem publicznym. Tych ludzi należało by dokładnie informować, o tym co się dzieje. Sam Pan przyzna, że jest odwrotnie. Nie należy mówić — „ty jesteś za głupi człowieku, żeby to zrozumieć”. A powinno być inaczej. Jak tą mądrą informację, którą ja posiadam przedstawić tak, by najprostszemu człowiekowi, który skończył najmniej szkół, mógł ją zrozumieć i na jej podstawie dokonać wyboru. Nie będzie pełnej demokracji w kraju, jeżeli nie będzie się do w niej odpowiedni sposób przygotowywać ludzi.

„No i co Pan narobił?” M. Frankiewicz przed sądem

13 czerwca br. o godz. 13 rozpoczął się w Sądzie Rejonowym przy ul. Młyńskiej w Poznaniu proces przeciwko Maciejowi Frankiewiczowi oskarżonemu o: „czynny udział w zbiegowisku publicznym przed konsulem radzieckim w Poznaniu, w dniu 14 stycznia 1991 r., naruszenie zasady eksterytorialności placówki dyplomatycznej obcego państwa przez wtargnięcie na teren konsulatu, sprofanowanie godła państwowego ZSRR i spowodowanie strat w wysokości 14 mln 123 tys. zł. Oskarżonemu grozi pozbawienie wolności od 6 miesięcy do lat 5.

Przed gmachem sądu przed rozprawą członkowie poznańskiej SW rozwinęli transparent: „O prawdę, o sprawiedliwość, o sąd nad komunizmem — Solidarność Walcząca, Partia Wolności”. Przed wejściem Macieja Frankiewicza, salę rozpraw szczelnie wypełniła publiczność, zabrakło miejsc, część osób stała. Tuż po rozpoczęciu rozprawy sędzina prowadząca rozprawę próbowała wyprosić tę część sali, dla której zabrakło miejsc siedzących — zostało to przywitane głosami oburzenia całej publiczności. Stojący pozostali. Woźny, który otrzymał polecenie niewypuszczania publiczności na salę rozpraw po rozpoczęciu przewodu wyrażnie ignorował polecenia pani sędziny. Po wejściu oskarżonego, ktoś z publiczności wręczył mu bukiet róż. Sala zaczęła skandować: „Precz z komuną”. W trakcie rozprawy drobniawo odtwarzano przebieg wydarzeń, które miały miejsce podczas manifestacji po wkroczeniu wojsk sowieckich na Litwę. Na terenie konsulatu rozbito wtedy i podpalono kilka butelek benzyny. Na elewacji domu sprayem napisano „Sowieci do domu”, sierpa i młota przyrównano do swastyki. Na płocie przed konsulem portret Gorbaczowa przemalowano tak, że przypominał Hitlera. Na jednym oku dorysowano gwiazdę, na drugim swastykę. Tłum krzyczał: „Gorbaczow oddaj Nobla”. Ktoś inny odkrzyknął: „Oddaj go Husajnowi”. Ktoś spalił sowiecką flagę. Maciej Frankiewicz wniósł i wywiesił na budynku konsulatu flagę litewską. Po wstępnych wyjaśnieniach proceduralnych, odczytaniu oskarżenia, sędzina zapytała:

— Czy oskarżony rozumie treść zarzutów?

Maciej Frankiewicz odpowiedział:

— Ich sens tak, ale nie rozumiem, dlaczego mam być sądzony przez sąd rzekomo wolnej Rzeczypospolitej za udział w manifestacji przeciwko Związkiowi Sowieckiemu, w dzień po masakrze ludności litewskiej. Brałem udział w manifestacji, a nie w „zbiegowisku publicznym”. Kierowałem wejściem dziesięciu osób na teren konsulatu sowieckiego. Jestem odpowiedzialny za zawieszenie na budynku konsulatu flagi Litwy, za umieszczenie na nim napisów „Sowieci do

domu” oraz symboli sierpa i młota przyrównanych do swastyki. Za wszystko, co zdarzyło się między 16.00 a 17.00, gotów jestem ponieść pełną odpowiedzialność. Chcę oświadczyć w tej chwili, że ani Wysoki Sąd, ani nikt inny nie usłyszy ode mnie słowa skruchy ani żalu, że to zrobiłem. Jeśli zdarzenia takie jak w Wilnie, miałyby się powtórzyć — zareagowałbym tak samo.

Następnie zeznawało trzech funkcjonariuszy — świadków oskarżenia. Świadek Starosta — zastępca naczelnika Wydziału Prewencji Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu zeznał:

— Przyjechałem przed konsulat o godzinie 15.45. Frankiewicz przybył około 16.00. Zaproponowałem mu wystąpienie do konsulatu trzyosobowej delegacji — była to propozycja Komendy Wojewódzkiej uzgodniona z konsulem Radzieckim. Odmówił, ale obiecał, że nie będą agresywni wobec policji. Mówił, że wyznaczył dziesięć osób i wejdą one na teren konsulatu. Część osób już przeskakiwała przez bramę. Przy ulicy demonstranci chcieli zawiesić planszę transparent na budce strażników policji — doradziłem im, żeby powiesili ją na drzewie... kiedy Frankiewicz wrócił podszedłem do niego: „No i co pan narobił? Co pan obiecał?”

Świadek Jendrasiak, uczestnik demonstracji, stwierdził:

— Uważam, że ze względu na masakrę na Litwie, zniszczenia na terenie konsulatu są usprawiedliwione! Prokurator zadawał pytania w taki sposób, który utrudniał mi odpowiedź, sprowadzając całą manifestację do rozróby chuligańskiej.

Rozprawa trwała pięć godzin. Wśród publiczności przysłuchiwali się jej również Kornel Morawiecki oraz Zofia Romaszewska z Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „S”. W dzień po rozprawie pisały o niej obszernie wszystkie poznańskie dzienniki, a audycję z sali rozpraw nadało lokalne radio. Większość publikatorów pisała dość obiektywnie, ale zdarzały się artykuły (jak w „Ekspresie Poznańskim”), których redaktorów należało by podać za nie do sądu. „Głos Wielkopolski” czcionkami tytułu krzyczał: *Sądowy epilog manifestacji przed konsulem ZSRR*, „Kurier Codzienny”: *Portret buntownika — Maciej Frankiewicz przed sądem*, Tygodnik „Poznańsk”: *Pierwszy proces polityczny Trzeciej Rzeczypospolitej — oskarżony: Święty Maciej (Frankiewicz)*.

Oświadczenie w sprawie demonstracji pod konsulem (publikowane w „Głosie Wielkopolskim”) wydał nawet w imieniu... poznańskich endeków Maciej Giertych: „Stosunek „Solidarności Walczącej” do ZSRR nie ma prawa wpływać na funkcjonowanie sądów, których zadaniem jest egzekwowanie prawa, a nie ocenianie racji politycznych. Niezależnie od powyższego jest w interesie Polski by stosunki z ZSRR umacniać, a nie destabilizować.”

Przewodnicząca wyznaczyła następny termin rozprawy na 26 lipca. Będą wówczas przesłuchiwać świadkowie obrony.

Dalszy ciąg rozprawy będziemy relacjonować w numerze sierpniowym „SW”.

/z.m/

STAN ZAMROŻENIA

12 VI 1991 r. w auli Akademii Ekonomicznej odbyło się spotkanie połączone z konferencją prasową zorganizowane przez poznański oddział Solidarności Walczącej i Partii Wolności. Spotkanie poświęcone było problemom weryfikacji kadr w poznańskiej prokuraturze i sądownictwie. Honorowym gościem konferencji był przewodniczący Partii Wolności — Kornel Morawiecki. Obecnych było około 80 osób. W dobie spadku zainteresowania życiem politycznym jest to liczba dość duża.

Organizatorzy spotkania — M. Frankiewicz, J. Marcickiewicz i A. Ruks przedstawili najbardziej rażące nieprawidłowości występujące w działaniu wymiaru sprawiedliwości. Szczególnie drastyczne były przypadki dwóch zabójstw na V Komisariacie by-

łej MO na Jeźcach oraz sposób prowadzenia śledztwa w sprawie zatonięcia dziecka. We wszystkich wspomnianych przypadkach doszło do rażących naruszeń toku czynności śledczych — nie przeprowadzono w porę sekcji zwłok, ingerowano w treść orzeczeń lekarskich, przedwcześnie zakończono śledztwa z powodów rzeczonych braków dowodów winy, błędnie informowano rodziny itp. W czasie spotkania zabierali też głos sami członkowie rodzin ofiar oraz poszkodowani w innych mniej rażących przypadkach.

Całe spotkanie pomyślane było jako konferencja prasowa. Taki był też napis na plakatach obwieszczających o spotkaniu. Na spotkaniu byli obecni przedstawiciele prasy poznańskiej. Niestety nie zadali oni ani jednego pytania. Jednakże wię-

kszość komentarzy prasowych po spotkaniu utrzymana była w tonie nieprzychylnym. Zacytujmy dla przykładu „Ekspres Poznański”:

„Górze brały emocje i subiektywne odczucia. Przy czym mieszało tu wszystko — sprawy czysto kryminalne ze sprawami politycznymi. Wydaje się, że PW, a wraz z nią SW spełnia w chwili obecnej raczej funkcje charytatywne, co zasługuje z pewnością na słowa uznania. Jak wynika ze słów ich przedstawicieli służą pomocą tym, którzy nie mogą się przebić przez ignorancję bądź złą wolę prokuratorów, sędziów, adwokatów i pomagają w dochodzeniu swych praw wszystkim, którzy domagają się sprawiedliwego osądu” („Dni chłodnictwa, czyli K. Morawiecki w Poznaniu”, „Ekspres Poznański” nr 2 z 13 VI 1991 r.)

No cóż, też uważam, że głównym celem partii politycznej nie powinna być działalność charytatywna czy prowadzenie biura adwokackiego. Jednak istnienie tego typu przypadków, o których była mowa na spotkaniu (można przypuszczać, że jest ich znacznie więcej) źle świadczy o funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest funkcjonowanie w nim starych układów i mechanizmów działania. Powinno to być inspiracją do poważnej dyskusji społecznej, a nie okazją do popisów elokwencji czy uszczypliwych uwag. Poziom większości komentarzy prasy poznańskiej ukazuje, jak wiele nam brakuje, aby przeprowadzić poważną debatę polityczną.

Jan MAJKOWSKI

„PO ROKU”

„Jeżeli wroga nie można przekonać, to należy go zniszczyć” - miał powiedzieć radziecki humanista M. Gorki. „Jeżeli nie potrafisz go zniszczyć, to musisz się z nim porozumieć” - można uzupełnić tę formułę. Drugą zasadę postępowania zastosowali komuniści zawierając porozumienie z „Solidarnością” przy okrągłym stole. W latach 1981-86 władza komunistyczna dążyła do całkowitego wyeliminowania opozycji z życia społecznego. Skala i masowość ruchu opozycyjnego była zbyt silna by całkowicie zniszczyć społeczeństwo podziemne. Komunistom groziła całkowita klęska. Politykę represji zastąpiła taktyka ustępstw i stopniowych koncesji. Wyrazem nowej polityki było powołanie Rady Konsultacyjnej (1986), w której zasiadło parę postaci z opozycji, zgoda na wydawanie miesięcznika „Res Publica” czy utworzenie pisma „Konfrontacje”, w którym ukazywały się wywiady z przedstawicielami „konstruktywnej” opozycji. Proces porozumienia elit został przyspieszony strajkami w maju i sierpniu 1988 roku. Strajki zagroziły władzy PZPR a z drugiej strony podważały pozycję „konstruktywnej” opozycji w społeczeństwie. Zakończeniem procesu dogadywania się elit społecznych w naszym kraju były obrady Okrągłego Stołu i wybory parlamentarne.

Zmieniająca się sytuacja polityczna postawiła „Solidarność Walczącą” i całą radykalną opozycję wobec nowych zadań zmuszając ją do przeformułowania taktyki działania. Metody konspiracyjne okazywały się być nieskuteczne i często budziły niezrozumienie społeczeństwa. Jednakże potworność zmian politycznych nakazywała

nieufność i ostrożność. Dalszy rozwój sytuacji politycznej nakazywał jednak znalezienie nowej formuły dla jawnej działalności. Początkowo K. Morawiecki powołał jawnych przedstawicieli SW - W. Myśleckiego we Wrocławiu, M. Frankiewicza w Poznaniu, M. Czachora w Gdańsku i A. Korpaczewskiego w Rzeszowie. Kolejną formą jawnej działalności były Kluby Polityczne „Wolni i Solidarni” skupiające sympatyków i zwolenników „Solidarności Walczącej”. Powstały one w Poznaniu, Kaliszu, Wrocławiu i innych miastach. Testem ich popularności były wybory samorządowe. Zakończyły się one zwycięstwem KO „S”. Jedynie we Wrocławiu i Szczecinie do rad miejskich weszli przedstawiciele Klubów. Stopniowo w pierwszej połowie 1990 roku w SW dojrzewała koncepcja koordynacji dotąd rozproszonej jawnej działalności. Czerwcowe spotkanie Komitetu Wykonawczego SW podjęło decyzję o ujawnieniu się K. Morawieckiego i utworzenia ogólnokrajowej organizacji. Pod koniec czerwca 1990 roku odbyło się jeszcze konspiracyjne spotkanie przedstawicieli SW i Klubów „WiS”, na którym uzgodniono szczegóły rozpoczęcia jawnej działalności. Głównym punktem dyskusji było ustalenie formy nowo powstałej organizacji - czy ma to być klasyczna partia polityczna, czy też organizacja o innym charakterze np. sprzymierzenie. Dyskusja koncentrowała się również wokół nazwy - czy zachować słowa „Solidarność Walcząca”, „Wolni i Solidarni” czy też stworzyć zupełnie nową - „Partię Wolności”. Przeważała ostanía koncepcja. Zebranie założycielskie partii odbyło się 7 VII 1990 w Warszawie. Wtedy też ujawnił się K. Mo-

rawiecki, rozpoczynając swoją kampanię prezydencką.

Od tego czasu minął już rok. Jakie są osiągnięcia naszej organizacji. Niepowodzeniem zakończyła się kampania prezydencka K. Morawieckiego. Mimo, że lider PW zgłosił swój udział w wyborach prezydenckich najwcześniej był on pomijany i niedostrzegany przez środki masowego przekazu. Struktury partii okazały się też zbyt słabe by przeciwstawić się różnym manipulacjom, w tym ze strony Państwowej Komisji Wyborczej. W związku z niezarejestrowaniem kandydatury K. Morawieckiego I Zjazd PW (9-11 XI Wrocław) cieszył się stosunkowo mniejszym zainteresowaniem środków masowego przekazu. Wybrano na nim władze PW, uchwalono statut i opracowano program działania na czas najbliższych dwóch lat. Zakończył się w ten sposób okres założycielski Partii.

Obecnie koła PW działają w ponad dwudziestu miastach Polski. Środowiska związane z PW i SW wydają kilkanaście pism w tym dwa „oficjalne”: tygodnik „Dni” wydawany we Wrocławiu i miesięcznik „Solidarność Walcząca” ukazujący się w Poznaniu. Rola PW wydaje się analogiczną z rolą SW w okresie stanu wojennego. Zadaniem partii winno być obok przeciwstawiania się komunizmowi we wszelkiej jego postaci, krytyka neo-„Solidarności”, ujawnianie międzynarodowych uwarunkowań polityki obecnych władz oraz kształtowanie alternatywnego myślenia politycznego. Będzie ono potrzebne w momencie załamania się polityki neo-„Solidarności” opartej na ugodzie z komunizmem.

REDAKCJA

Szanowni Goście, delegaci, drodzy przyjaciele,

Witam wszystkich bardzo serdecznie na pierwszym Zjeździe Partii Wolności.

Formalnie nasza partia jest bardzo młoda, o stażu liczącym zaledwie w miesiącach. Ale dysponujemy przecież jednocześnie bagażem historii, doświadczeń i dokonań konspiracyjnej organizacji Solidarność Walcząca. Tworzyliśmy tę organizację w najciemniejszym okresie nocy stanu wojennego. Wiele z nas za wierność idei wolności zapłaciło wysoką, a niektórzy najwyższą cenę.

Dziś jednak pamiętając o tamtych ofiarach, trudach i przybytej drodze, winniśmy przede wszystkim spojrzeć w przyszłość - naszego kraju i naszej części świata. Winniśmy umieć dostrzec szanse i zagrożenia stojące przed dążącymi ku wolności społeczeństwami komunistycznego imperium. Nasza, Solidarności Walczącej i Partii Wolności droga jest bowiem wspólną drogą z wszystkimi tymi, którzy wbrew przeszkodom uparcie walczą o wolność i niepodległość, o lepszy, bardziej ludzki świat. Wymiar tej wspólnej walki to przecież nie abstrakcja, to sprawy jak najbardziej związane ze społecznym, narodowym, a także indywidualnym, prywatnym życiem każdego z nas.

Wrocław, 9 listopada 1990 r.

Przewodniczący Partii Wolności
Kornel Morawiecki

IDZIEMY NIEPRZETARTYM SZLAKIEM

Wystąpienie na I Zjeździe Partii Wolności, 9. XI. 1990 r.
Zacznę wierszem Jerzego Narbutta „Wolność”:

Idziemy ku tobie
gwiazdo zaranna wśród mroków
idziemy ku tobie
chwilo zwycięskiej ciszy
idziemy wciąż
uparcie
krok w krok
rok po roku
i tylko to się liczy.

Przybyliśmy tutaj, aby szukać racji dla naszego życia, dla pracy, walki i służby publicznej, które chcemy pełnić w Polsce, w Europie, w Świecie. Gdzie więc jest ten kierunek życia, kierunek trwania i rozwoju?

W stosunkach międzypersonalnych kości każdego społeczeństwa stanowią ogólne normy i przykazania - nie zabijaj, nie kradnij, czcij rodziców, wspomagaj bliźnich. Czasami zbrojnym i rabusiom może wiesć się wspólnie, niekiedy mogą opływać w dostatki do późnej starości. Lecz zbrojność hołdująca rozbojom i złodziejstwu wnet niszczy się sama. Stąd bierze się powszechność i podobieństwo zasadniczych norm - sprawdzały się i sprawdzą w tysiącach pokoleń i milionach wspólnot.

➤ 5

I ciągle - przy rdzennej stałości - te reguły i nakazy obrastają w nowe powiązania i uwarunkowania, określają personalną przestrzeń moralną - biblijne drzewo wiadomości dobrego i złego.

Wraz z kształtowaniem się plemion i narodów, państw i systemów to biblijne drzewo krzewi się i poszerza o wymiar społeczny, międzywspólnotowy. Gdyż społeczności tworzą odrębną jakość, nie są one tylko prostą sumą swych członków. Odziaływują na nich przez język, tradycje, obyczaje, przez splot losów. Współdziałają też i konkurują między sobą. I zarówno wewnętrzne ustroje, jak i zewnętrzne zachowania społeczności podlegają ocenom moralnym. Ale kryteria i oceny są tu o wiele płynniejsze, mniej sprawdzone niż na gruncie osobowym. Część kwestii normują międzynarodowe Pakty, Konwencje, Karty, Prawa Człowieka i Obywatela itd. I znów, jak w wymiarze indywidualnym, doraźne sukcesy mogą odnosić państwa i systemy nieprawe, zbrojeckie. Lecz na długą metę zło społeczne niszczy tych, którzy je praktykują.

Rozeznac moralne wektory w przestrzeni ponadosobowej, powiększać tam dobro i pomniejszać zło - oto podstawowe zadanie polityki traktowanej jako służba własnej wspólnoty i ludzkości. Zadanie to pozostanie wiecznie aktualne, gdyż postęp cywilizacji przeobraża nas i nasze struktury, przynosi nieznane zagrożenia, wyzwania i możliwości. Trudno się w tym wszystkim połapać, kontury przeszłości zwykle są zamazane, teraźniejszość we mgle. A przyszłość - czyja będzie, czy będzie nasza? Mamy, na szczęście, drogowskazy, kamienie milowe - to wartości. Prawda i sprawiedliwość, wiara i nadzieja, wolność i solidarność, praca i odpowiedzialność, honor i uczciwość, współczucie i mięstwo, prawa człowieka i prawo narodów do niepodległości. Takie pojęcia i idee zyskały w trakcie wieków miano wartości i wielką lekkością grzeszą te zbiorowości, które je lekceważą. W wielkiej grze życia wartości, przekazywane z pokolenia w pokolenie, z jednych kultur i wspólnot w drugie, są jakby garniturem swoistych społecznych genów, koniecznych do ewolucyjnego trwania.

Komunizm, który gwałci podstawowe prawa ludzi i narodów jest złym, zbrodnictwem ustrojem. Upada więc i będzie musiał upaść. Jak przyspieszyć ten upadek? Jak sprawić, żeby był ostateczny? Co i jak budować na gruzach komunizmu? Czy Polska, czy narody przez dziesięciolecia poddane niszczącemu wpływowi tego systemu mają szansę podźwignąć się?

Myślę, że zebraliśmy się tu, na Zjeździe Partii Wolności, aby postawić te pytania i próbować na nie odpowiedzieć.

Gospodarcze i militarne nienadążanie za Zachodem spowodowało, że w połowie lat osiemdziesiątych Sowietci przystąpili do „pierestrojki”. Z pewnością zamierzali wzmocnić system przez częściową adaptację mechanizmów rynku i demokracji. Trzeba przyznać, że manewr prowadzony jest z rozmachem - w całym imperium, z dopuszczeniem do udziału autentycznych ruchów i sił społecznych, z zakwestionowaniem samej istoty systemu. Jak na razie udało im się tylko zyskać przychylną zachodnich rządów i opinii publicznej. Gdzie są granice zmian? Czy i kiedy nastąpi rozpad imperium? Podejrzewam, że dziś jeszcze nikt nie potrafi odpowiedzieć na te pytania, łącznie z kierownictwem na Kremlu, armii i KGB. Ale chyba wciąż istnieje zdolność systemu do kontratacji, tym bardziej że umęczone społeczeństwo sowieckie ma dość wszystkiego. Poprzednie trzy wielkie reformy - leninowski NEP, odwilż Chruszczowa i chińskie „otwarcie” w latach 1978-1989 skończyły się „powrotem do źródeł”. Lecz nawet stan wojenny w całym Związku Sowieckim będzie w stanie co najwyżej przedłużyć agonię systemu. Ludzie i narody poczułi już smak wolności, już nie ustąpią.

Dotychczas Polska przodowała w procesie wyzwalań się. To tutaj narodziła się „Solidarność” - najpotężniejsze ideowe zaprzeczenie komunizmu. Niestety, uгода z komunistami, potocznie zwana kontraktem „okrągłego stołu”, pozwoliła im zachować mafijne powiązania, a nawet często wzmocnić uprzywilejowanie ekonomiczne. Ludzie zubożeni, wyczerpani nieudolnymi rządami, czują się oszukani, pozbawieni nadziei. Nastroje buntu przeplatają się z apatią i rozpaczą. Aż żal mówić o zmarnowanym czasie, koniecznych a możliwych do przeprowadzenia przemianach politycznych i gospodarczych. Ci, którzy mieli prowadzić naród drogą demokracji, drepczą w miejscu. Teraz, sztucznie podzielili się na dwie personalnie poróżnione frakcje i kontrolując środki masowego przekazu stwarzają pozory wyboru: Wałęsa czy Mazowiecki. I tak wszystko pozostanie w ramach jednego, zasadniczo wspólnego układu władzy. Na to zaś, żeby ostatecznie zerwać ze starym systemem, trzeba ten „okrągłostolowy” układ pozbawić władzy. Czy uda się to osią-



gnąć walką polityczną, metodami demokratycznymi, czy czeka nas wybuch społeczny?

W wychodzeniu z komunizmu są etapy ewolucyjnych przekształceń i momenty rewolucyjnych zrywów. Idziemy pionierskim, nieprzetartym szlakiem, na którym konieczny jest upór i konsekwencja, ale również odwaga i śmiałość w poszukiwaniu nowych przejęć. Jasne, że musimy wprowadzić pełną demokrację i gospodarkę rynkową. Lecz w tych ogólnych ramach mieści się różnorodność modeli i rozwiązań. Wiadomo, że nowoczesna gospodarka nie oznacza puszczania wszystkiego na żywioł wolnego rynku, ale panowanie nad nim przez sterowanie makroekonomiczne, przez przewidywanie tendencji rozwojowych i wspieranie ich. Państwo nie może uciekać od fachowego, odpowiedzialnego prowadzenia polityki gospodarczej. Podobnie z polityką socjalną, z kulturą, nauką, wychowaniem młodzieży. Wszędzie tam wolność i demokratyczny ład powinny być chronione i wspierane przez władze państwowe i samorządowe.

Ale jakkolwiek byłyby ważne różne organizacyjne modele i ich realizacja w całym bogactwie naszej społecznej i narodowej egzystencji, jeszcze ważniejszy będzie wybór wartości, za którymi się opowiemy, które uznamy za swoje. I tu właśnie mamy szansą przeskoczyć kraje dziś jeszcze tak bardzo wyprzedzające nas w pochodzie cywilizacyjnym. Może już niedługo będziemy mieli za sobą - jak zły sen - okres komunizmu. Przełamanie tego systemu powinno dać nam poczucie zwycięstwa, rozpęd do pracy i działania. Powinniśmy w ten nowy czas wolności przenieść ideę solidarności. Inaczej, na nowo spojrzeć na samych siebie. Czego pragniemy i czego pragnąć warto - czy posiadania rzeczy, użycia i konsumpcji, czy rozwoju świadomości, wiedzy, uczestnictwa, twórczości materialnej i duchowej?

Takie samookreślenie się, taki wewnętrzny wybór, poparty wolą i zbiorowym wysiłkiem, pozwoli nam w przyspieszonym tempie wejść w nową, informatyczną erę rozwoju, nadszyc za XXI wiekiem.

Ten Zjazd Partii Wolności nieprzypadkowo zwołaliśmy w dniach 9-11 listopada, w rocznicę odzyskania niepodległości. Tylko w niepodległym kraju może zatriumfować wolność - nasza potrzeba i nasze wspólne marzenie.

Chcę skończyć wierszem - modlitwą greckiego poety:

Mój Boże!
Kiedy zareszcie ten Twój nowy potop?
Niesprawiedliwość, kłamstwo, gwałt idą pod rękę.
Uczyń nam nową arkę,
żebyśmy odetchnęli -
sprawiedliwi, ubodzy, wierzący.
A potem pewnego ranka daj nam
znów wyjść na światło.
Mój Boże,
postaraj się, żeby arka wolności mogła wszystkich
[pomieścić]

Jest nas wielu!

Kornel MORAWIECKI

ROZWIĄZAĆ IMPERIUM

(Andrzej Drawicz rozmawia z Władimirem Bukowskim)

Fragmenty audycji Radia Wolna Europa (26 września 1990) przygotowanej i prowadzonej przez Andrzeja Mietkowskiego. Spotkanie Bukowski-Drawicz odbyło się w redakcji miesięcznika „Res Publica” w Warszawie.

Andrzej Drawicz: Panie Włodzimierzu, jak ocenia Pan dzisiaj pierestrojkę? W 1985 roku część rosyjskiej emigracji zajęła wobec tego procesu stanowisko zdecydowanie nieprzejednane, maksymalistyczne. Od tego czasu sporo się jednak zmieniło, czy nie uznaje pan za stosowne dokonać rewizji swoich poglądów? Nawet Władimir Maksimow, filar owej grupy nieprzejednanych, bywa w Moskwie, zwraca uwagę na konieczność szukania porozumienia, współpracy... Pan należy do grupy, która uważa, że reżim komunistyczny nie jest zdolny do żadnej zmiany, że — parafrazując Czechowa — „to nie może się zdarzyć, ponieważ to nie może się zdarzyć nigdy”. A jednak coś się zdarzyło i czasem są to zmiany bardzo głębokie. W pańskim kraju nastąpiła wolność ducha, jakieś dotąd nie było, może po rewolucji lutowej.

Włodzimierz Bukowski: Czy gotów jestem zrewidować moje ówczesne stanowisko? Bynajmniej! Wręcz przeciwnie, rozwój wypadków potwierdza, że mieliśmy rację. Dziś nie tylko nasza grupa, ale cały kraj woła: „Precz z komunistami!”, „Nie przebudowywać komunizmu, skończyć z nim raz na zawsze!” Dzisiaj mówi to Jelcyń, ówczesny członek Politbiura, piszą o tym sowieckie gazety, i jest to powszechnie uznany punkt widzenia. Dlaczego miałbym się wyprzeć tego, co uznał cały kraj. Proszę mi odpowiedzieć.

Odpowiadam. Ponieważ — jak mi się wydaje — pan i pańscy koledzy twierdziliście, że skuteczny jest tylko rewolucyjny wybuch, że cokolwiek zaczęłoby się odgórnie — nie doprowadzi do sytuacji, jaką dziś obserwujemy, bo w którymś momencie ONI pociągną za hamulec...

To prawda, mówiliśmy, że albo pociągną za hamulec, albo wszystko się rozpadnie. Są tylko dwa scenariusze. Nie istnieje liberalny komunizm. To tylko Zachód — bezgranicznie naiwny — daje się na to nabrać. Moskwa nie dokonała jeszcze żadnych poważnych przekształceń, a już domaga się kredytów. Od trzydziestu lat mam do czynienia z komunistami i wiem, że jedyny sposób, aby z nimi coś załatwić, sprowadza się do układu: „Ja — tobie, a ty — mnie”.

To jest ich własny styl. Wierzą głęboko, że każdego daje się wystrychnąć na dudka. Udzielanie jakichkolwiek kredytów pierwszemu sekretarzowi komunistycznej partii okręgu stawropolskiego byłoby nierozumne. Jakie mam podstawy, by nagle, ni z tego ni z owego, uwierzyć, że jest wielkim reformatorem?

Panie Włodzimierzu, znajduje się pan w kraju, którym jeszcze przed rokiem rządili komuniści. Podróżuje pan po dawnym świecie socjalistycznym, który nie ma już z socjalizmem nic wspólnego. Jest to w jakimś sensie skutek działań owego sekretarza ze Stawropola.

Wie pan, stosując tę logikę powinniście dziękować Edwardowi Gierkowi za stworzenie „Solidarności”. Wydaje mi się, że nie docenia pan zasług ludzi, którzy przez dziesięciolecia walczyli z reżimem. Kiedy zobaczyłem w Wilnie narodową flagę litewską — natychmiast przypomniałem sobie tych wszystkich Litwinów, z którymi siedziałem w więzieniach i łagrach. Rokrocznie kilku młodych Litwinów szło za kraty za to tylko, że w dniu niepodległości Litwy wciągali tę właśnie flagę, i ta flaga załopotowała nad Litwą właśnie dzięki nim, a nie dlatego, że Gorbaczow postanowił dać Litwie niepodległość. Ani mu to w głowie. Gorbaczow chciał autonomii gospodarczej dla Litwy, żeby go mniej kosztowała.

W sytuacji, kiedy istniała odgórnie kierowana struktura totalitarna, mimo dużego znaczenia ruchów oddolnych, potrzebny był człowiek, który miałby śmiałość pociągnąć za dźwignię.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego mówimy o odwadze. Wcale nie uważam za odwagę człowieka, który za wszelką cenę stara się ratować własną skórę.

Są też inne sposoby ratowania własnej skóry. Na przykład niczego nie ruszać...

To już nie było możliwe. Jedyny jeszcze sposób, w jaki Gorbaczow mógłby uratować własną skórę, przedstawiłem w futurystycznym opowiadaniu dla „American Spectator”. Pisałem, jak to w 2007 roku w amerykańskim barze spotykam człowieka, którego znam skądś z widzenia i mijam sporo czasu, zanim sobie przypominam, że to przecież Gorbaczow, azylant polityczny w Ameryce. Kiedy Gorbaczow przyjechał do Kalifornii, zadzwoniło do mnie chyba z pięćdziesięciu moich znajomych z pytaniem: „No i co? Myślisz, że zostanie?”. odpowiadałem: „Jeśli jest mądry, to zostanie, a jeżeli nie — to wróci”. No i wrócił.

Wiemy dziś dobrze i Gorbaczow sam to przyznaje, że cała polityka głośności i pierestrojki została wypracowana na dwa lata przed jego dojściem do władzy. A co do odwagi człowieka pociągającego za dźwignię — już kilkakrotnie pociągnął i dźwignię te odpadły.

Pierwszy raz — w Tybilisi. Gorbaczow myślał, że żołnierze rąbiący saperkami tak bardzo nastraszą Gruzinów, że społeczeństwo na jakiś czas umilknie.

Drugi raz — w Baku. To była poważna próba odwrócenia biegu wydarzeń. W owym czasie wszystko było już gotowe do wprowadzenia w kraju stanu wojennego: rozszerzono prerogatywy jednostek MSW, zwiększono ich liczebność, wprowadzono zakaz strajków... Gorbaczow chciał skonsolidować rozłazący się kraj — i najlepiej w odniesieniu do jakiegoś wspólnego wroga. Rzeź między Azerami i Ormianami, jak dziś już wiadomo, spowodowana w Sumagajcie przez KGB, stała się niekontrolowana. Wtedy Gorbaczow zdecydował, że skoro konsolidacja na bazie ideologii komunistycznej nie jest możliwa, to może uda się w oparciu o nastroje nacjonalistyczno-religijne: barbarzyńcy muzułmanie mordują naszych chrześcijan, to znaczy Ormian. Przed wkroczeniem sowieckich oddziałów do Baku telewizja, radio, prasa przez kilka dni rozniecały histerię. W tym czasie wyrzynano tam Ormian, i nikt się do tego nie mieszał, skrupulatnie wszystko filmując. Pokazywano wstrząsające zdjęcia, krew spływała po obiektywach kamer telewizyjnych, a intencje reżyserów nie pozostawiały cienia wątpliwości.

Zaraz potem Gorbaczow skierował wojska do Azerbejdżanu i ogłosił mobilizację rezerwistów. Wierzył, że wszystko przygotował na medal i cały kraj jak jeden mąż poprze go w walce z zewnętrznym zagrożeniem — słowem, że dojdzie do konsolidacji. Sądził, że przy okazji ogólnego zamieszania bez trudu uda mu się wyeliminować z życia politycznego najbardziej energiczny element, ludzi młodych, dwudziestoparoletnich.

Cały jego misterny plan spalił na panewce. Tłumy kobiet wyszły na ulice krzycząc, że nie chcą drugiego Afganistanu, że nie pozwolą swoim dzieciom służyć w wojsku — i mobilizacja po prostu się zawałiła. Wyobrażam sobie jego przerażenie i panikę. Dziś to wszystko jest zjawiskiem politycznym; moi bliscy znajomi rozmawiają z Gorbaczowem niemal codziennie. Jeden z nich, deputowany do Rady Najwyższej, był w komisji powołanej do zbadania wypadków w Tybilisi. Razem z grupą deputowanych referował Gorbaczowowi wyniki dochodzenia. Na zakończenie powiedział mu, że tak dłużej już nie można, że w sprawie narodowościowej trzeba wypracować jakąś długofalową politykę — przynajmniej

na dwa, trzy lata. Gorbaczow spojrzal na nich i powiedzial: „Dwa, trzy lata? Nie moge wybiegac tak daleko w przyszlosc. Ja sie zastanawiam, jak przezyc dzien jutrzejszy...” Oto jak sie sprawy maja.

Naprawde nie widze powodow, by chwalic Mikolaja za to, ze doprowadzil do Rewolucji Lutowej, Ludwika XVI za Wielka Rewolucje Francuska, Gierka za „Solidarnosc”, a Gorbaczowa za dzisiejsze wolnosc. Pan chce, zebym serio traktowal tego czlowieka...

**Panie Włodzimierzu, to nie o czło-
wieka chodzi! Zaczął się pewien pro-
ces, pański kraj wyzwolił się
duchowo, zmienia się system, dzieje
się naprawdę coś poważnego. A
zdaniem pana i osób podobnie jak
pan myślących nic podobnego nie
mogło się wydarzyć.**

Pan niewłaściwie interpretuje nasze stanowisko. W „Liście 10” przedstawiliśmy wszystkie nasze zastrzeżenia. Ostatni warunek został spełniony dopiero teraz: odrzucenie ideologii komunistycznej. W roku 1987 pisaliśmy, że dopóki to nie nastąpi, w Związku Sowieckim nadal możliwy jest zwrot — i dlatego Zachód nie powinien wkładać głowy w paszczę lwa. Pisaliśmy: „Czekajcie, żądajcie, naciskajcie na nich — i dopiero gdy wypełnią tę listę warunków, łącznie z demontażem swojej ludożerczej ideologii — wtedy dopiero będzie to proces nieodwracalny”.

**Pańskie rozumowanie przypomina
mi momentami przekonywanie are-
sztantów, którzy znaleźli się na wol-
ności, że to nie jest jeszcze pełna
wolność, ponieważ nie spalili swo-
jego więzienia i nie powywieszali
wszystkich strażników. Niech pan
się rozejrzy po Polsce. Tu w ogóle
nie ma żadnego komunizmu. A prze-
cież do tej sytuacji doszliśmy na
drodce uzgodnień z komunistami,
choć pojawiały się głosy, że takie
posunięcie jest tragicznym nieporo-
zumieniem.**

Pan mówi o okrągłym stole. Tak jest, od początku przekonywałem moich polskich przyjaciół, że to błąd, bo im bardziej staracie się złagodzić przejście do nowego systemu, tym mniej będzie ono skuteczne. Nie istnieją kompromisowe rozwiązania równiań matematycznych. Pewne warunki muszą być spełnione — nieważne, czy mamy na to ochotę, czy nie, czy wierzymy w Boga, w Diabła czy w komunistów.

W Rosji są dwa takie warunki.

Po pierwsze — należy rozwiązać imperium. Im wcześniej tym lepiej, bo inaczej zostanie skąpane we krwi. Do niedawna to była kwestia pewnych zasad: trzeba dać ludziom wolność, nie wolno gnębić bliźnich i tak dalej. Dziś to już nie sprawa pryncypów — to pałaca konieczność!

Po drugie — trzeba przejść do gospodarki rynkowej, przy czym znacznie szybciej niż to zrobili Polacy. W Polsce istniało przynajmniej nie-kołchozowe rolnictwo. A przecież nie da się przejść płynnie od kołchozów do prywatnego farmerstwa. Albo



trzeba ratować albo kraj, albo socjalizm. Nie ma trzeciej drogi. A żeby chłop rosyjski zgodził się dzisiaj wziąć ziemię, trzeba mu nie tylko na to pozwolić, ale trzeba go do tego namówić, zachęcić, trzeba mu przyznać pożyczkę...

Obserwuję teraz naszych nowych businessmanów w Związku Sowieckim. Ich wizja kapitalizmu napawa mnie przerażeniem. Sądzą, że wszystko sprowadza się do rabunku — złapać co swoje i w nogi. Nie rozumieją, że gospodarka rynkowa opiera się na zaufaniu, na reputacji. Tylko na tym. A Gorbaczow powiada: trzeba stopniowo, najpierw dzierzawa, potem jeszcze coś... Nie ma takiego przejścia, jak nie ma kwadratury koła. To nieprawda, że radykalna zmiana wywoła bunt, bezsensowny i bezlitosny. Bunt grozi dlatego, że ludzie nie potrafili pokojowo rozstrzygnąć problemów. Dajcie im pokojową alternatywę. Pokażcie, jak to zrobić! Miejcie dość cywilnej odwagi, by raz w życiu stawić czoła temu systemowi i powiedzieć: DOSYĆ JUŻ TEGO! IDŹCIE PRZECZ! Oto, co należy zrobić, bo jeżeli tego nie zrobimy — wybuchnie wojna domowa.

Przykład Polski dowodzi czegoś zupełnie przeciwnego, przykład Polski wskazuje właśnie inną drogę, panie Włodzimierzu, drogę, którą Rosja — co prawda z trudem — mogłaby pójść.

Wydaje mi się, że Rosja nie ma takiej drogi. Zrozumcie, u nas już zaczęły się bunt-y spowodowane brakami w zaopatrzeniu. My nie mamy czasu, który miała Polska. Gomułka rozwiązał kołchozy w 1956 roku. U nas istnieją do dziś, a pan mi mówi o

polskiej drodze. Gadanie o stopniowej reformie to bluff. Im wolniejszy jest proces przemian, tym skuteczniej aparat się do nich dostosowuje i w rzeczywistości nic się nie dzieje. Wygląda na to, że wprowadziliśmy reformę, a tymczasem ten sam aparat się do niej dostosowuje i w rzeczywistości nic się nie dzieje. Wygląda na to, że wprowadziliśmy reformę, a tymczasem ten sam aparat tkwi na posterunku; jak hydra: odcinaś jedną głowę — wyrasta następna. I tak bez końca. Mówią to, proszę pana, ludzie umiarkowani, profesorowie, a nie tacy ekstremiści, za jakiego pewnie uchodzę w pańskich oczach.

A wracając na koniec do Gorbaczowa, dam panu jeszcze jeden przykład. Postanowił przywrócić nam obywatelstwo. Wydał dekret. Piękny gest, prawda? Nie wiadomo tylko było, komu je właściwie przywrócił. Zachód z miejsca ogłosił, że wszystkim. Raptem okazało się, że dwudziestu trzem osobom. Nazwisk nikt nie widział. Dzwoniłem jeden do drugiego: „Przywrócono ci obywatelstwo?” „Nie wiem, chyba nie. A tobie?”

Poza tym jakże to tak: przywrócić obywatelstwo ludziom, nad którymi do dziś wiszą wyroki?! Ja jestem winny władzy sowieckiej sześć lat więzienia. Solżenitsynowi przywrócili obywatelstwo, to się zachęcał: „Co mi po waszym obywatelstwie, skoro do dziś jestem oskarżony o zdradę państwa”. I komu dziś potrzebny jest obywatelstwo Związku Sowieckiego, skoro wszyscy mówimy o niepodległości republik? Jak w kropki wody widać tu istotę działania Gorbaczowa. Zrobić jak najlepsze wrażenie i wyciągnąć rękę do wujka Sama.



Spółeczeństwo więziennic

- próba modelu

Świat więzienny, rządzący się własnymi prawami i posiadający swój własny kodeks postępowania budził od dawna zainteresowanie literatury pięknej i nauk społecznych. Jednym z nielicznych krajów, w których rozrośnięty do monstrualnych rozmiarów system więzień i obozów koncentracyjnych nie pełnił tylko funkcji środka represji wobec świata przestępczego, lecz służył pogłębianiu panowania politycznego nad formalnie „wolną” ludnością był stalinowski Związek Sowiecki. W łagrach i więzieniach tego kraju przebywało w szczytowym okresie ok. 40 mln. osób. Według znanego dowcipu z tamtego okresu ludność sowiecka dzieliła się tylko na trzy kategorie: tych co siedzą, co siedzieli i co będą siedzieć. Ówczesna polska i rosyjska literatura pamiętnikarska jest dobitnym świadectwem cierpień narodów ZSRS. Zadaniem niniejszego szkicu jest próba konceptualizacji sub-społeczeństwa więziennego oraz określenie jego roli w społeczeństwie socjalistycznym. Wymaga to przyjęcia określonej wizji społeczeństwa socjalistycznego. Punktem odniesienia niniejszych rozważań niech więc będzie teoria socjalizmu w nie-Marksowskim materializmie historycznym (zob.: Nowak L., „O konieczności socjalizmu i konieczności jego zaniku. W: Przyjaciół Nauk, nr 1-2, s.55-101, Poznań - Wrocław 1984-85/.

Zasadniczą cechą społeczeństwa socjalistycznego jest jego podział na dwie klasy społeczne: władców, czyli tych co decydują o przeznaczeniu materialnych środków przymusu oraz obywateli, którzy pozbawieni są wpływu na dysponowanie nimi. Ten dychotomiczny obraz struktury społecznej uzupełnić trzeba o grupę pośrednią - rządzących. Są to ci, którzy choć pozbawieni wpływu na dysponowanie środkami przymusu poddawają się pod panowanie silniejszych /władców/ by móc skutecznie dominować nad słabszymi /obywatelami/. Interes klasy władców polega na powiększaniu sfery regulacji władczej. Wpływa to z samej natury mechanizmów rywalizacji władczej. Ci z władców, którzy z różnych powodów opóźniają powiększanie sfery swoich wpływów stopniowo tracą na znaczeniu społecznym. Podlega bowiem im mniej spraw, otoczeni są mniejszym groźnym zwolenników, ponieważ mniej rzeczy mogą „załatwić” czy przeforsować. W końcowym stadium wytracania sfery wpływów, ci którzy nie nauczą się pogłębiać swojej władzy zostaną wyeliminowani za struktury władzy. Interes obywateli jest zupełnie odmienny - polega on na powiększaniu swojej autonomii poprzez zmniejszanie ingerencji władzy w życie społeczne. Rozbieżność interesów pomiędzy władzą a społeczeństwem obywatelskim ma charakter trwały. Antagonizm ten oznacza, że władza może swoje interesy (powiększanie sfery regulacji) realizować wyłącznie kosztem obywateli, zaś klasa obywatelska może powiększać

swoją autonomię tylko kosztem zmniejszania regulacji władczej.

Obywatele wchodzą w niezależne od władzy relacje społeczne, które dysponenci środkami przymusu mogą rozbić poprzez terror lub biurokrację. Terror polega na zastosowaniu represji wobec autonomicznych działań obywatelskich. W ekstremalnym przypadku oznacza to również fizyczną eliminację tych spośród klasy obywatelskiej, którzy stanowią ośrodek, niezależny od władzy powiązań społecznych. Biurokracja polega na zastąpieniu autonomicznych powiązań społecznych przez sztuczne, w których rolę pośrednika pomiędzy obywatelami pełni władza.

Sposobem obrony klasy obywatelskiej jest masowe wyłamywanie się z narzuconych ram porządku politycznego. Opór może być skuteczny wtedy, kiedy jest masowy, kiedy przeobrazi się w rewolucję. Do niej dochodzi wtedy, kiedy ucisk polityczny jest średniowysoki - prowokuje opór ale nie paraliżuje zbiorowych wystąpień. Niski stopień ucisku politycznego nie wymaga masowego oporu społecznego. Natomiast zbyt wysoki poziom ucisku politycznego doprowadza do deklaskacji politycznej i atomizacji życia społecznego uniemożliwiając zbiorowe wystąpienia wobec władzy. Jednakże stan deklaskacji politycznej nie jest trwały - po pewnym czasie zerwane przez władzę relacje obywatelskie ulegną odnowie i obywatele na nowo mogą podjąć walkę o społeczne wyzwolenie.

Wszelkie działania podejmowane przez ludzi można podzielić na publiczne i prywatne. Działania publiczne jednostka ludzka podejmuje wspólnie z innymi, a ich przedmiotem są również inni ludzie. Działania prywatne są natomiast podejmowane indywidualnie, a przedmiotem tych czynności jest sam ich wykonawca. Do tego typu działań należy np. mycie zębów, jedzenie, spanie itd. Regulacji władczej dostępne są tylko działania publiczne. Zgadzało by to się w jakiejś mierze z intuicjami E. Goffmana. Uczony ten w znanej pracy o instytucjach totalnych, podzielił świat ludzkich zachowań na pracę, zabawę i odpoczynek. W społeczeństwie normalnym każdy z trzech typów czynności zachodzi w innym czasie, miejscu i z innymi ludźmi. W instytucjach totalnych, do których zalicza on koszaży, zakony, więzienia i szpitale, czynności te są skomasowane - dokonują się w jednym czasie, miejscu, i w tym samym środowisku. Łatwiej więc mogą zostać poddane regulacji władczej.

Sub-społeczeństwo zamknięte, którego instytucjonalną formą są np. więzienia lub koszaży różni się od społeczeństwa otwartego wyższym stopniem regulacji władczej. Władcy więzienni /koszarowi/ regulują publiczne, jak i prywatne życie obywateli. Sub-społeczeństwa więzienne są więc terenem

nadzwyczajnych przyrostów regulacji władczej.

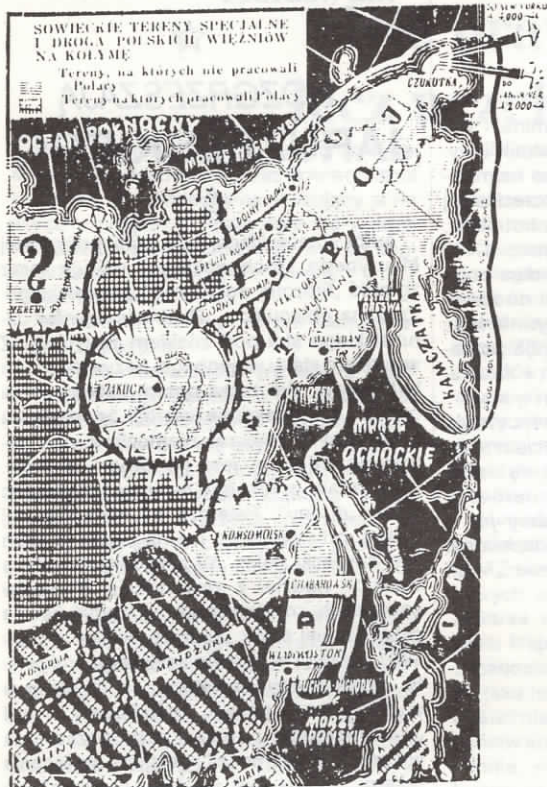
Dalszą różnicą pomiędzy społeczeństwem otwartym a sub-społeczeństwem otwartym jest sposób wyłaniania rządców. W społeczeństwie otwartym jest on w zasadzie dobrowolny. Rządcami stają się ci, którzy za cenę zmniejszenia swojej wolności, chcą powiększyć zakres swojego oddziaływania społecznego. Natomiast w sub-społeczeństwie zamkniętym sposób wyłaniania rządców jest przymusowy - stają się nimi ci, którzy zniewalając swoich współ-bliźnich starają się zminimalizować skutki swego zniewolenia. Sub-społeczeństwo więzienne jest tylko jednym z typów sub-społeczeństwa zamkniętego. Obok niego inną rozpowszechnioną formą jest sub-społeczeństwo koszarowe, w którym starsi służbą żołnierze (rządcy koszarowi) podporządkowują sobie młodszych (obywateli koszarowych) chcąc w ten sposób zneutralizować rygory dyscypliny wojskowej.

Mechanizm wtórnego zniewolenia (obywateli więziennych /koszarowych przez rządców więziennych/ koszarowych) jest podobny do procesów zniewalania w społeczeństwie otwartym. Podobny, ponieważ w sub-społeczeństwie więziennym podporządkowaniu ulegają nie tylko działania publiczne obywateli ale i również ich życie prywatne. Wydłuża to proces rewolucyjnej niezależności powiązań społecznych - najpierw bowiem emancypacji musi ulec sfera zachowań prywatnych więźniów. Proces ten w sub-społeczeństwie więziennym następuje o wiele wolniej niż w społeczeństwie otwartym. Opór obywateli w pierwsze kolejności kieruje się przeciwko współwięźniom - rządców więziennym by później drogą rewolucji wymusić dla wszystkich ustępstwa od władzy więziennej.

Te dotychczasowe rozważania prowadzą do wniosku, że w środowisku więziennym (mówiąc szerzej w sub-społeczeństwach zamkniętych) zasadniczy antagonizm społeczny nie znajduje się na linii: władcy więzienni - obywatele więzienni lecz na osi rządzący więzienni - obywatele więzienni. Więźniowie zaś w niewielkim stopniu przypominają solidarną wspólnotę ludzką połączoną jednym nieszczęściem. Daje temu świadectwo obfita literatura pamiętnikarska dokumentując, że:

„w tym bezmiarze cierpienia, w codziennej walce o przetrwanie niektórzy więźniowie zdobywają sobie drobne przywileje, które wydają się ich wyróżniać na tle ogólnej nędzy. Jednemu przypada w udziale nieco lżejsza praca, drugiemu dodatkowa porcja chleba, trzeciemu jakiś ciepły łach, a jeszcze innym odrobina władzy nad resztą towarzyszy. Każdy trzyma się pazurami tego co posiada, boi się stracić i ma nadzieję, że jeszcze coś zdobędzie. To stwarza stałe poczucie rywalizacji, wieczną walkę wszystkich przeciwko wszystkim i niszczy najmniejsze odruchy solidarności między więźniami”.

Rywalizacja wśród więźniów w sowieckich łagrach nie była jednak chaotyczną i przypadkową. Jedną kategorią więźniów (kryminalni) stale i wyraźnie dominowała nad pozostałymi (politycznymi). Pisz o



tytuł klasyk literatury obozowej A. Sołżenicyn:

„Wciskają się do stołypinowskiego przedziału spodziewasz się także tutaj spotkać towarzyszy niedoli. Wszyscy twoi gnębiciele i wrogowie zostali po tamtej stronie kraty, tutaj już ich nie oczekujesz. (...) Aresztant - nowicjusz pragnie uważać się za więźnia politycznego, to znaczy on broni ludu, państwo zaś jest wspólnym wrogiem. A tymczasem - znienacka, z tyłu i z boku dopada cię jakaś szczerwana hołota i wszystkie podziały nagle się mącą, a to co było jasne poszło w drzazgi (i nie prędko więzień zbierze się do kupy, nie prędko się zorientuje, że ta hołota w istocie trzyma ze strażnikami)”.
Zaprezentowane ustalenia pozwalają na dokonanie modyfikacji przebiegu fazy zniewolenia i samozniewolenia władzy w teorii społeczeństwa socjalistycznego.

W pierwszym okresie rozwoju tego społeczeństwa w wyniku konkurencji władczej dochodzi do ograniczenia autonomii obywatelskiej. Wzrost regulacji władczej prowadzi do oporu społecznego obywateli, który przekształca się w rewolucję polityczną. Klęska rewolucji umożliwia całkowicie zniewolić społeczeństwo. Po podporządkowaniu większości autonomicznych dziedzin i sfer życia społecznego presja konkurencji władczej prowadzi dalej do samozniewolenia władzy. Odtąd konkurencja władza musi się toczyć kosztem sfer wpływów podporządkowanym wcześniej innym władcom. Jedynym sposobem uniknięcia bądź osłabienia stanu samozniewolenia jest poddanie regulacji władczej pewnych kręgów obywateli. Zwiększonej, bo obejmującej ich życie prywatne. Absorbują to liczne rzesze władców więziennych

osłabiając presję konkurencyjną wewnątrz klasy władców. W ramach subsocjoeczeństwa więziennego pewne kręgi obywateli chcąc zrehabilitować skutki swojego zniewolenia podporządkowują sobie innych obywateli więziennych. Wyłania się w ten sposób nowa kategoria społeczna - rządów więziennych. Mechanizm wtórnego zniewolenia przebiega w podobny sposób jak proces zniewolenia w społeczeństwie otwartym. Rządcy więzienni podporządkowani władzy rozbijają autonomiczne związki obywateli więziennych. Proces wtórnego zniewolenia umacnia także panowanie władców więziennych: rozbija subsocjoeczeństwo więzienną na dwie antagonistyczne grupy oraz za cenę niewielkich koncesji udzielanych rządcom więziennym pozwala głębiej ingerować w struktury życia więziennego. Rządcy więzienni natomiast poprzez wtórne zniewalanie nie tylko osłabiają skutki własnego zniewolenia ale też otrzymują od władców niewielkie koncesje, które poprawiają ich sytuację w subsocjoeczeństwie więziennym.

Po upływie pewnego czasu, dłuższego jednak niż w przypadku społeczeństwa otwartego następuje restytucja zerwanych więzów obywatelskich. Proces integracji społecznej odbywa się kosztem interesów rządców więziennych.

Po pewnym czasie dochodzi do wybuchu rewolucji więziennych. Rewolucja kończy się klęską. Władcy więzienni odpowiadają represjami ale zdobywają się na ustępstwa rozluźniając rygory subsocjoeczeństwa więziennego. Ponowna etatyzacja, po okresie ustępstw, życia więziennego prowokuje kolejną rewolucję. Jej przegrana powoduje represje ale przynosi też kolejne koncesje. W konsekwencji przegranych rewolucji więziennych następuje redukcja zniewolenia obywateli więziennych i ostateczna likwidacja subsocjoeczeństwa więziennego.

Prowadzi to jednocześnie do zniesienia samozniewolenia władzy bowiem klasa władców może z powrotem dokonywać etatyzacji chwilowo wyzwolonych obszarów życia społecznego. Jednakże system społeczny bezpowrotnie wkracza w fazę cyklicznych deklasacji.

Społeczne dzieje Archipelagu GUŁag są egzemplifikacją przedstawionej koncepcji. Już w rok po objęciu władzy bolszewicy przystąpili do budowy obozów koncentracyjnych. Jednakże istnienie sporych obszarów niezależnej aktywności społecznej sprawiło, że system więzienny nie pełnił jeszcze funkcji zastraszania społeczeństwa i pogłębiania nad nim władzy. W latach dwudziestych prototypem późniejszego Archipelagu GUŁag były Wyspy Sołowieckie. Kolektywizacja rolnictwa w latach trzydzi-

tych zniszczyła ekonomiczne podstawy jedynej niezależnej gospodarki od państwa sowieckiego warstwy ludności. Ludność chłopska zaludniała też wyspy Archipelagu GUŁag, który rozrastał się terytorialnie i liczebnie. Liczba więźniów jednocześnie przebywająca w łagrach wynosiła około 40 mln ludzi. Lokalizacja obozów pracy, które pokrywały całe terytorium ZSRS była oczywiście tajna. Dlatego ciekawe są w tej materii ówczesne spostrzeżenia poszukującego oficerów pomordowanych w Katyniu Józefa Czapskiego, który w rozmowie z radzieckim dygnitarzem dostrzegł, że ten:

„Siedział na tle wielkiej mapy ZSRR, na której były wyrysowane wszystkie główne punkty obozów, którymi kierował. Najwięcej gwiazd i kół i innych znaków oznaczających wielkie skupienia obozów było na terenie ASSR Komi, na półw. Kola, na Kojumie. Między innymi zauważyłem, że wielkie centrum obozowe jest w Wierchojańsku, jako wielkość równoznaczna z Magadanem. Magadan zaś jest punktem poprzez który przechodzą wszystkie rzesze więźniów politycznych wysyłane na statkach mieszczących 5 tys. do 10 tys. więźniów i przewożone tam z Bucht i Nachodki pod Władywostokiem”.

Wyrazem samozniewolenia władzy w Związku sowieckim lat trzydziestych były okresowe czystki i procesy wewnątrzpartyjne, które stopniowo obejmowały szczyty hierarchii aparatu partyjnego. Był to wynik zaciętej rywalizacji o władzę w tonie sowieckiej kom-partii. Obozy pracy wymagające rozrostu organów ścigania, sądów, prokuratury, służb więziennych itd. absorbowwały liczne kręgi władzy przyczyniając się do rozluźnienia presji konkurencyjnej wewnątrz aparatu partyjnego.

W samych łagrach pewne kręgi więźniów podporządkowały sobie pozostałych. Rozbicie społeczne środowiska więziennego ułatwiało jego kontrolę. Stopniowo jednak następował proces integracji więźniów GUŁagu. Rozpoczął się on od egzekucji na szpiclach i donosicielach by na początku lat pięćdziesiątych doprowadzić do otwartych buntów w Workucie, Kirgirie i innych miejscach. Tłumione przez władze rewolucje zeków przenosiły się w inne rejony doprowadzając w połowie lat pięćdziesiątych do redukcji stanu uwięzionych i praktycznej likwidacji Archipelagu GUŁag jako odmiennego subsystemu społecznego, chociaż obozy pracy przetrwały jako instytucja.

Trudno na zakończenie nie oprzeć się pokusie sformułowania pewnych wniosków natury etycznej. Przedstawiony model subsocjoeczeństwa więziennego ukazuje fałszywość poglądów, szczególnie rozpowszechnionych w myśli lewicowej, dodatnio oceniających pod względem moralnym prześladowanych, a ujemnie prześladowców. Zniewolenie bowiem deprawuje moralnie nie tylko ciemnych ale i ciemionych. Jedyną zaś skuteczną obroną przed nim jest zniewalanie współbliznich lecz solidarny opór uciśnionych.

Bogumił KALINIECKI

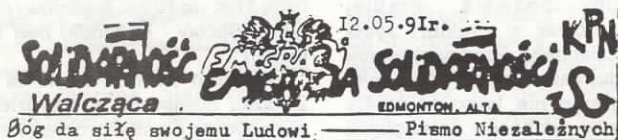
„Solidarność Emigracji - Emigracja Solidarności”

To nazwa Organizacji i jednocześnie biuletynu ukazującego się w Edmonton w Kanadzie. Pismo w skromnej szacie graficznej powielane na ksero ukazuje się w nakładzie 300-600 egz. najczęściej raz w miesiącu. Jak pisze do nas Pan Mieczysław Bona przewodniczący tej liczącej ponad 20 osób organizacji „Wszyscy pracujemy i w naszym biuletynie robi się tylko przedruki z SW, Solidarności-80 i innych wydawnictw krajowych. Między innymi po to by miejscowej (emigracyjnej) prasie polskojęzycznej zaprzeczyć

temu co wypisują o tzw. niepodległości Polski i wychwalaniu L. Wałęsy niemalże we wszystkim.” Pismo nie wprowadziło numeracji numerów, jednakże do czerwca br. ukazało się ich 32. Pan Mieczysław Bona, jeszcze w kraju, przed sierpniem roku 1980 spędził 5,5 roku w komunistycznym więzieniu. W 1980 roku aktywnie działał w Solidarności, od dnia 13 grudnia uczestniczył w strajku na terenie Huty Katowice, po strajku został aresztowany, a następnie internowany. Przed tym wszystkim jed-

nak - jak wspomina - był grudzień 1970, strajk i wystąpienia - wyjście na miasto ze Stoczni Szczecińskiej wraz z grupą robotników, gdzie 16. XII o godz. 17.30 został ranny i ledwo przeżył. Po emigracji do Kanady, cały czas aktywnie wraz z organizacją SE-ES pomaga organizacjom i strukturom podziemnym w kraju.

Z cyklu poświęconego polskim organizacjom i pismom ukazującym się na Zachodzie w numerze (277-278) pisaliśmy już o American For Independent Poland oraz piśmie „Myśli Polityczne”



Z LISTU CZYTELNIKA

...Program SW jest wg mej oceny dość minimalistyczny. PW nie wiele odbiega, a martwi CISZA w sprawie polskich ziem Wschodnich. Bez względu na racjonalność i realia polityczne, a więc i utopijność tych dążeń, sprawa Prus, Wołynia, Podola winna się znajdować w harmonogramie kwe.stii do załatwienia. Rozumiem, iż istnieje gradacja celów i partykularyzm polityki wewnętrznej w organizacjach, ale mimo to... brak sprecyzowanych poglądów w tej kwestii pozostawia niebezpieczną próżnię (choćby przetargową)... Wiesław Brodowski - Prus Spart Anburg /USA/

Inicjatywy Emigracji

1-2 nr nowopowstałego pisma „Obserwator polityczny” wydawanego przez AFIP w Stanach donosi o rozszerzeniu Funduszu „Ku Wolności”, który wspomógł Kornela Morawieckiego kandydującego na urząd Prezydenta RP. Nowy Fundusz zachowując nazwę „Ku Wolności” zyskał dookreślenie - „Fundusz wyborczy Partii Niepodległościowych”. Fundusz zbiera pieniądze na rzecz następujących partii i organizacji (wg porządku alfabetycznego): Konfederację Polski Niepodległej, Liberalno Demokratyczną Partię „Niepodległość”, Niezależny Ruch Ludowy „Piast”, Partię Konserwatywną, Polską Partię Niepodległościową, Partię Republikańską, Partię Wolności, Solidarność Walcząca, Stronnictwo Wierności Rzeczypospolitej,

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Fundusz apeluje do emigrantów: „apelujemy do Twojej dojrzałości politycznej i znajomości mechanizmów zdobywania liczących się pozycji w komórkach władzy. Wzywamy do masowej akcji zbierania pieniędzy na rzecz, do niedawna jeszcze morderowanych, a obecnie dyskryminowanych partii i ugrupowań, których głównym założeniem jest osiągnięcie niepodległości, jako punktu wyjściowego w budowie zdrowego, moralnie silnego społeczeństwa polskiego.”

Nowy 10-czerwcowy nr „Myśli politycznych” (pismo również wydawanego w USA) przynosi informacje o powołaniu Centrum koordynacyjnego podróży działaczy



ugrupowań niepodległościowych z Polski. Redakcja „MP” pisze: „wprost o pomstę do nieba woła brak koordynacji takich podróży które częstokroć przebiegają po kilka razy z zachodu na wschód lub z południa na północ USA”. Redakcja apeluje do rodaków zamieszkałych w Kanadzie i USA którzy mają gdzie organizować spotkania, mogą zapewnić nocleg, wyżywienie i środki transportu oraz kontakt z prasą i TV, o kontakt z autorami apelu i samym Centrum Koordynacyjnym.

NIE WSZYSCY



ROZGRZESZAJĄ JARUZELSKIEGO



Autor interesującej „Filozofii politycznej Maurycego Mochnackiego” usiłuje teraz zgłębić „filozofię polityczną” Jaruzelskiego. Zaczyna obiecując: „Realność czynów Jaruzelskiego stoi pod znakiem zapytania. Z wyjątkiem stanu wojennego, oczywiście. Ten był realny”. Ale zaraz potem kategoryczna opinia: „Kto przekornie twierdzi, że radziecka inwazja była wówczas niemożliwa, czy nieprawdopodobna, jest po prostu nudny”. Otóż ja tak „przekornie twierdzę”, ryzykując epitet „nudny”. Twierdząc tak tym bardziej dzisiaj, gdy wiadomo już na jakich nogach stał sowiecki kolos. W zasadzie nie wiążę wielkich nadziei z zawartością archiwów sowieckich, myślę jednak że kiedyś pewne przynajmniej ślady „operacji Polska” z roku 1981 wpadną w ręce dociekliwego archiwisty. Przekonamy się wtedy, że chodziło o wyszantażowanie groźbami od Jaruzelskiego i towarzyszy przecięcia wrzodu „Solidarności” polskimi wyłącznie rękami. Trzeba być nie tyle „nudnym”, co naiwnym, żeby wierzyć w „radziecką inwazję wojskową”, która musiałaby doprowadzić do powstania Wietnamu w sercu Europy. Jaruzelski był więc z całą pewnością przyciskany do muru i chwytyany za gardło, ale wybór miał. Rzecz jasna, wybór wymagający aktu odwagi i minimalnego choćby szacunku dla wolnościowych aspiracji Polaków. Na użytek Łagowskiego warto tu zacytować kilka zdań z ostatniego, przedśmiertnego opracowania generała Adama Uziembły (w świeżych „Zeszytach Historycznych”): „Miarą osłabienia morale wojska polskiego niech będzie to, że interwencja przeciw Czechosłowacji, na czele której stał generał Siwicki, nie spotkała żadnego sprzeciwu, w przeciwieństwie do postawy wojska w roku 1956. Zmiany te, niewątpliwie z błogostawieństwa Gomułki, doprowadziły do tego, że w roku 1970 wojsko strzelało do robotników, czemu Jaruzelski się nie sprzeciwił. Skorzystał natomiast ze skutków strzelania i razem z Moczarzem przyczynił się do usunięcia Gomułki i wprowadzenia Gierki, czyli do całkowitego podporządkowania kraju Rosji. Dalsze dziesięć lat wychowania w nowym duchu doprowadziło do tego, że wojsko bez oporu wyręczyło armię sowiecką, zastępując interwencję wprowadzeniem stanu wojennego w roku 1981.”

Gustaw HERLING - GRUDZIŃSKI

Fragment Dziennika pisanego nocą, Kultura, /marzec 1991/

Czytaj i popieraj miesięcznik „Solidarność Walcząca”. Pismo ukazujące się przez wiele lat w podziemiu - dzisiaj oficjalnie. Jeżeli chcesz otrzymywać regularnie wszystkie n-ry, pomyśl o prenumeracie - już teraz.

Nie prawica, nie lewica, lecz uczciwość lub oszustwo

Prędzej, prędzej, doprowadzić do tego, aby narody ujarzmione przez Sowietów same podpisały na siebie wyrok skazujący je na wieczny związek z Rosją póki nie wiedzą one jeszcze o co chodzi. Ten wysiłek konstruktorów „zjednoczenia Europy”, z /.../ czasem obecnym - trwa.

Ich misternie tkane przez pół wieku dzieło jest zagrożone.

Ostatnio, konieczność wymagała choćby częściowego ujawnienia go, a także ostre żądania niepodległości narodów, które na swych terenach nie zaznały „błogosławieństwa” działalności politycznej - nie wiadomo dlaczego zwanej niezależną - może otworzyć innym, a przede wszystkim Polakom, oczy na to co bez nich postanowiono i jakimi drogami wprowadzono to w życie.

Polska jak wiadomo, jest w 90% katolicka. Od zarania peerelowskiej rzeczywistości pisywał dla niej Stefan Kisielewski, później powstały Kluby Inteligencji Katolickiej i wzorowane na zachodnim (marginalnym) katolicko-młodzieżowym ruchu „braterstwa narodów” - „Oazy”. Istniała „opozycja” sejmowa „Znak”, a potępiony oficjalnie przez Kościół „Pax” w praktyce codziennej był coraz bardziej rehabilitowany. W drugiej połowie lat 70-tych powstał Komitet Helsiński, KSS KOR, ROPCio, PPN - Najdera, KOMITET POROZUMIENIA na rzecz SAMOSTANOWIENIA NARODU i wiele innych katolicko-społecznych lub społeczno-politycznych ośrodków. Pojawił się też Moczulski ze swym rzekomo niepodległościowym programem, a na równie patriotyczny lecz nieendecki element oddziaływała politycznie paryska „Kultura”.

Jedni nabierali się na rzekomą walkę z komunizmem - drogę do niepodległości - i ponosili ofiary, przed innymi otwierała się już senatorska przyszłość. Wszystko, co działo się w Polsce od czasu II wojny światowej mieści się w torach zmierzających do jednego celu i służyło zacieraniu naturalnie istniejącej granicy pomiędzy „władzą” PRL i społeczeństwem, a wysiłek patriotycznego - przeciwnego Rosji elementu (WIN) został politycznie całkowicie zmarnowany. Efektem tego jest rzekomo polski rząd w rzekomej Polsce.

Obecnie, ideowy i świadomy element zdaje sobie sprawę z politycznego znaczenia całej tej opartej jedynie o dobrą wolę „wschodniego mocarstwa” - fikcji, która wypycha naród w coraz większą nędzę, demoralizację i poniżenie. Ogół, którego to dotyczy, nie wierzy już aby warto było w cokolwiek się angażować. Popierają przemiany ci, którzy otrzymują pomoc od rodziny z zagranicy lub sami tam byli na zarobku. Mieści się w tym niestety duży procent społecznie nastawionej, marzącej o niepodległości lecz zupełnie apolitycznej, najbardziej związanej z Kościołem - inteligencji.

Uzurpatorzy - zdrajcy, którzy to wszystko co jest teraz nieprawdziwe w Polsce, reżyserowali, wiedząc, że ogół polskiego narodu ma w sobie głęboko zakodowane to, że niepodległość w orbicie Rosji żadną niepodległością być nie może i Polska by istnieć musi być całkowicie od niej niezależna. To samo dotyczy innych zagarniętych przez Rosję carską czy ZSRS narodów, które dopiero wtedy będą mogły stworzyć prawdziwą federację gdy będą miały swoje własne państwa w etnicznych granicach i pokierują się zrozumieniem wspólnego interesu gospodarczego i wspólnego zagrożenia ze strony Moskwy.

Niepodległość nie oznacza wcale izolacji. Od 1939 roku zaistniały wielkie przemiany. Zmieniły się potrzeby surowcowe, których coraz bardziej brak na świecie. Stwarza to współzależność gospodarczą wielu krajów. W tym wszystkim mieści się doskonale suwerenność polityczna tego typu jaka istnieje na Zachodzie. Taka, która, uzależniając gospodarczo Włochy od państw arabskich, Holandię od Anglii i wzajemnie, nie wyklucza suwerenności politycznej w oparciu o USA. To co wyklucza suwerenność polityczną to usytuowanie w orbicie totalitarnego mocarstwa jakim są Sowiety. Wolna od komunizmu Rosja nie przestałaby być niebezpieczeństwem dla Polski i innych małych krajów, które pozostają teraz pod dominacją imperium. Ponieważ Rosja nigdy nie była państwem demokratycznym, to nawet gdyby się wyzwołała od komunizmu nie będzie to oznaczać przejścia tych tradycji, którymi rządzą się kraje Zachodu co najmniej od wieku, do których Polska należy. Układ sił na świecie zmienił się również w związku z powstaniem nowych środków zniszczenia i nieznanych dawniej technologii. Broń nuklearna potrzebna jest Zachodowi do obrony. Dla Moskwy jest ona instrumentem szantażu. W tym układzie międzynarodowych stosunków, Zachód potrafi szanować prawo jednostki i ideały prawdy i uczciwości. Różnice między Wschodem i Zachodem to nie tylko różnice ustrojowe, ale kryteriów etnicznych, które są deptane i nie znaczą nic w obliczu totalitarnego państwa. Widzimy to nie tylko w potężnej Rosji ale i w małych komunistycznych państwach jak Kuba czy Nikaragua, które, choć odległe od niej o tysiące kilometrów, znalazły się w orbicie jej panowania.

Cały świat jest zmaterializowany, mimo to kapitalistyczne pragnienie zysku nie wyklucza prawdy i uczciwości i w tym ogromna rola dla Kościoła. Papież mówi o rywalizacji między supermocarstwami w kontekście Wschód-Zachód. W istocie istnieje tylko rywalizacja gospodarcza między krajami wolnego świata, przy nienaruszaniu ich suwerenności. Jak obserwujemy, między Wschodem i Zachodem nie ma żadnej rywalizacji, przeciwnie, Zachód ratuje imperium sowieckie przed katastrofą.

Racja Stanu Rzeczypospolitej, po klęsce wrześniowej została całkowicie przekreślona. „Federacja” środkowej Europy była już głównym przedmiotem zainteresowań pierwszego rządu emigracyjnego i bezpośrednią przyczyną oddania nas pod dominację sowiecką. Zwalanie winy za Jaltę, na Aliantów jest kłamstwem. To rząd gen. Sikorskiego, który rozpoczął swą działalność od zdrady ambasadorów Rzeczypospolitej, od przeprowadzonej przez nich selekcji politycznej emigracji pod kątem wrogości do Piłsudskiego ponosi główną winę za los jaki od tej pory spotyka Polaków. Churchil wyraził się w kontekście poprzedzającego Jaltę okresu, że nie rozumie zupełnie polskiej polityki, że jest ona zwariowana. To jest prawda. Historia nie zna bardziej absurdalnej i szkodliwej dla narodu działalności niż złączenie socjalizmu z nadprzyrodzonymi celami Kościoła w konfrontacji z totalitarnym systemem.

„Federacja” środkowo-wschodniej Europy” pod kierowniczą rolą wschodniego mocarstwa, którą uzurpatorzy przeprowadzają od tak dawna, musi więc zostać sfinalizowana zanim jeszcze ogół zorientuje się w gigantycznym oszustwie. Polega ono na złączeniu w jedno - dwóch celów, które z natury rzeczy należą do zupełnie różnych sfer, a mianowicie duchowej i materialnej. Cel par excellence polityczny jakim jest „federacja” został tu złączony z religijno-ekumenicznym celem Kościoła, z wykorzystaniem jego społecznej nauki dla kamuflażu.

Kościół pragnie, aby nauka Boża objęła cały blok wschodni i aby religijność tej części kontynentu oddziaływała na drugą część „zmaterializowanej” Europy i świata, aby ludzkość kierowała się pokojowymi i humanitarnymi zasadami współżycia i aby komunizm przeobraził się na drodze ewolucji.

Tę idealistyczną naukę w kontekście dwóch supermocarstw wykorzystuje w całej pełni Kreml, który mimo pierestrojki ciągle się zbroi i penetruje Zachód. W kontekście „federacji” europejskiej natomiast, wykorzystuje ją element bezwzględny, karierowiczowski, który najczęściej nie tylko z religią ale ze zwykłą ludzką uczciwością nie ma nic wspólnego. Jeśli chodzi o środowiska amerykańskie, rzekome zmiany w Europie popierają lub pracują na ich rzecz: komuniści z dużym procentem Żydów, lewicujący liberałowie z dużym procentem katolików, większość kleru, część finansjery, zdezerorientowani propagandą i tchórze przerażeni potęgą ZSRS.

W wolnych krajach istnieje wachlarz pism, które reprezentują różne poglądy i publiczność wybiera to co jej odpowiada, dając temu wyraz w głosowaniach. W totalitarnym systemie to nie istnieje i Kościół w odczuciu narodu staje się także synonimem Niepodległości zyskując „rząd dusz”,

którego w demokratycznie rządzących się społeczeństwach nie posiada. Ten czynnik wykorzystany został przez uzurpatorów hołdujących internacjonalno-socjalistycznym poglądom. Pod pokrywką społecznej nauki Kościoła i z dużą pomocą osób duchownych, uchwycili oni w swe ręce cały mający znaczenie polityczne przekaz do Polaków, zarówno w kraju jak i poza jego granicami, podporządkowali sobie wszystkie instytucje polonijne na Zachodzie, organizacje i fundusze. Tej monopolizacji służy również sztuka i literatura (Miłosz, Herbert i inni), która wyzwala Polaków z Polski.

Ich idee dotyczące lepszego urzędnictwa świata, braterstwa i współżycia narodów itd., są dla katolika w sowieckim bloku nie do odróżnienia od religii. On szczerze pragnie aby ludzkość była lepsza, niemniej chce także godziwego życia we własnej Ojczyźnie bez kurateli Moskwy nad nią i nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak jego pragnienie jest realizowane, czyli jak ta sprawa załatwiana jest w administracji jedyne go mogącego (jeszcze) przeciwstawić się ZSRS (Rosji) mocarstwa. Nie ma pojęcia, ponieważ cała dziedzina tej istotnej wiedzy została mu rozmyślnie odcięta przez rodzimą „niezależność”, która rzekomo zmierza do demokracji lecz w rzeczywistości - wykorzystując nieświadomość polityczną ogółu - narzuca mu rozwiązanie sprzeczne z jego wolą.

Oszustwo, którego ofiarą pada katolicki naród, koncentruje się właśnie w Waszyngtonie, gdzie uzurpatorzy w imieniu wszystkich Polaków przeprowadzają ukierunkowaną na Rosję politykę, która jedynie Sowietom przynosi korzyść.

Zasadnicze znaczenie ma tu przedkładany przez nich rządowi amerykańskiemu postulat domagający się uniezależnienia polityki dotyczącej środkowo-wschodniej Europy od interesów strategicznych Ame-

ryki (rząd gen. Sikorskiego pertraktując z Majskim, także uniezależnił się od Anglii), który automatycznie podporządkowuje tę część kontynentu - wschodniemu mocarstwu. Postępowanie Busha wskazuje na to, że za wyjątkiem NRD o którą walczyła druga część tego narodu w wolnym świecie, środkowo-wschodnia Europa już odpisana została na straty, przy odradzających się objawach instynktu samozachowawczego w USA. Dlatego myślę, że i emigracja odnajdzie w sobie pragnienie zidentyfikowania siebie z niepodległościowymi aspiracjami narodów. Przede wszystkim musi ona zdać sobie sprawę z tego, że od 50 lat świeccy i duchowni polscy politycy na Zachodzie, wychowując przyszłą „konstruktywną opozycję” i przygotowując dla niej teren, robili wszystko co w ich mocy aby wpływać na Amerykę i cały wolny świat w kierunku dobrego współżycia z Rosją. W tym celu ukrywali oni wszystko to, czego ZSRS dopuszcza się w Polsce. Z myślą o socjalistyczno-ekumenicznym urzędowaniu świata, a przede wszystkim środkowo-wschodniej Europy w oparciu o Rosję, eksponowali oni „władzę” PRL do której, a nie do jej mocodawcy, odnosili wszystkie przedkładane Waszyngtonowi postulaty. Sprawa niepodległości Polski nigdy nie została w nich uwzględniona, a głosy wyborcze 10-cio milionowej Polonii, które mogłyby mieć na nią wpływ, były całkowicie zmarnowane.

Pod kątem supremacji wschodniego mocarstwa nad Europą, zniszczyli oni całkowicie w Waszyngtonie znaczenie polityczne naszego Sierpnia, jak też wszystkich innych zrywów narodów do niepodległości. Z tych samych przyczyn, nie dopuścili oni do powstania na emigracji ośrodków dopominających się o prawa polityczne Polski i uśmiercili całkowicie współpracę z niepodległościową emigracją sąsiadujących z Polską narodów.

W tej sytuacji nie można się dziwić, że Bush oglądając masowe pielgrzymki i procesje okazuje entuzjazm Wałęsie, który wybawia go od jednego z Kłopotów w stosunkach Wschód-Zachód.

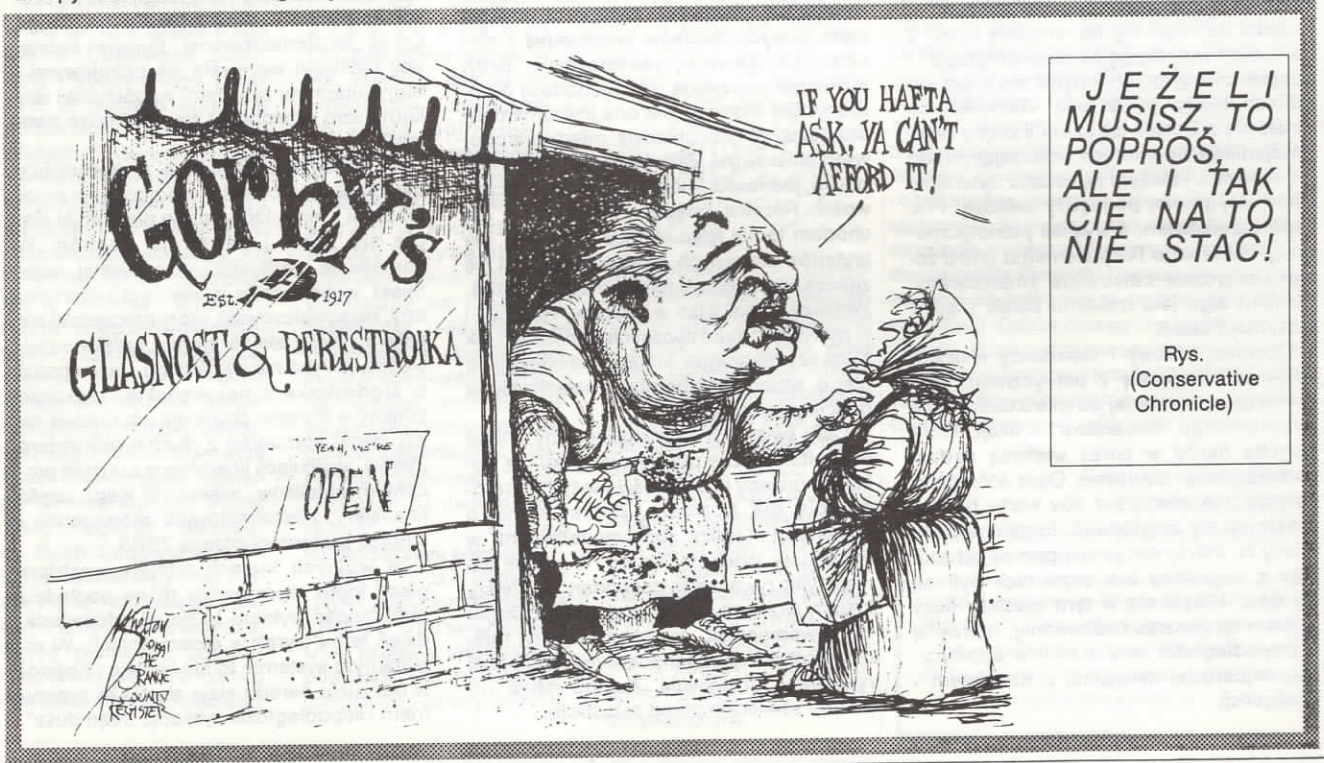
Gdyby narody pod panowaniem Moskwy uświadomiły sobie oszustwo, które przekreśla ich niepodległość, nie manifestowałyby tak swej prawdziwej czy rzekomej religijności przed światem, jak to miało miejsce swego czasu u nas, a dziś dzieje się w Czechosłowacji. Wtedy Zachód nie miałby alibi na to, że nie wie, o co tym narodom naprawdę chodzi.

Teraz, gdy wszystko co oficjalnie opozycyjne zamazuje tylko obraz tego co niezależne od Sowietów z własnym krajem się dzieje, pozostająca w podziemiu Solidarność Walcząca oraz struktury poziome NSZZ „S” w zakładach pracy odgrywają szczególnie rolę, a osoby takie jak Kornel Morawiecki, Andrzej Gwiazda, Anna Walentynowicz i im podobni, są sumieniem narodu.

Nie chcą oni dopuścić do tego aby krew polała się daremnie ... Pisma tych środowisk podają rzetelne wiadomości. Przy naszej pomocy mają one szansę wpłynąć na to aby każdy nieobojętny na los Ojczyzny Polak, określił we własnym sumieniu swój stosunek do rozgrywających się wydarzeń.

W przeciwnym wypadku, zamiast zaplanowanego na odpowiednią chwilę i z poparciem świadomego społeczeństwa - generalnego strajku, który zawsze jest instrumentem walki politycznej, mogą nastąpić desperackie i nieobliczalne wybuchy, które powodują tylko ofiary w ludziach, albo jeszcze w większym stopniu niż dzieje się to do tej pory, ludzie będą z Polski uciekać.

Alina STARCZEWSKA-BYRSKA



JAKI KAPITALIZM PRZETRWA ?

Ośrodek Etyki i Polityki Społecznej (Ethics and Public Policy Center) Uniwersytetu Georgetown jest jedną z wielu podobnych instytucji działających w USA. Celem Ośrodka jest popieranie badań, wspieranie publikacji i organizowanie debat publicznych poświęconych bieżącym problemom społecznym USA i Europy Zachodniej. Zakres zainteresowań Ośrodka Etyki i Polityki Społecznej jest dość szeroki. Objemuje on zagadnienia związane z religijnymi, oświatowymi, naukowymi, ekonomicznymi i politycznymi aspektami życia publicznego krajów zachodnich. Powstały w 1976 r. Ośrodek Etyki i Polityki Społecznej jest więc jedną z wielu podobnych instytucji, które poprzez wpływ i kształtowanie opinii publicznej USA decydują o obliczu demokracji tego kraju. Jedną z wielu publikacji E.P.P.C. jest wydana w 1979 broszura pt. „Czy Kapitalizm przetrwa”. Artykułem wprowadzającym jest w niej rozprawa P. Johnsona „Czy kapitalizm ma przyszłość?”. Po niej następują wypowiedzi imiennie wybranych przez Ośrodek osób związanych ze światem kultury, nauki, biznesu i religii, które zaprzeczają bądź uzupełniają tezy zawarte w rozprawie P. Johnsona.

Czytelnik może postawić sobie pytanie, po co właściwie autor przystępuje do omawiania broszury po z góry 11 latach od jej wydania !?. Ponadto poziom tej publikacji jest przeciętny. Spośród trzynastu osób, które składają się na autorów tego zbiorku polskiemu czytelnikowi znani są jedynie dwaj: Paul Johnson - autor „Historii świata” i Michael Novak, który wydał w Polsce jeszcze w podziemiu „Ducha demokratycznego kapitalizmu” i oficjalnie „Przebudzenie etniczne Ameryki”. Przeciwnością tego zbiorku jest jego zaleta. Obrazuje on samoświadomość amerykańskich elit intelektualnych w przededniu „rewolucji konserwatywnej” oraz nieznaną polskiemu czytelnikowi dylematy i problemy współczesnego kapitalizmu.

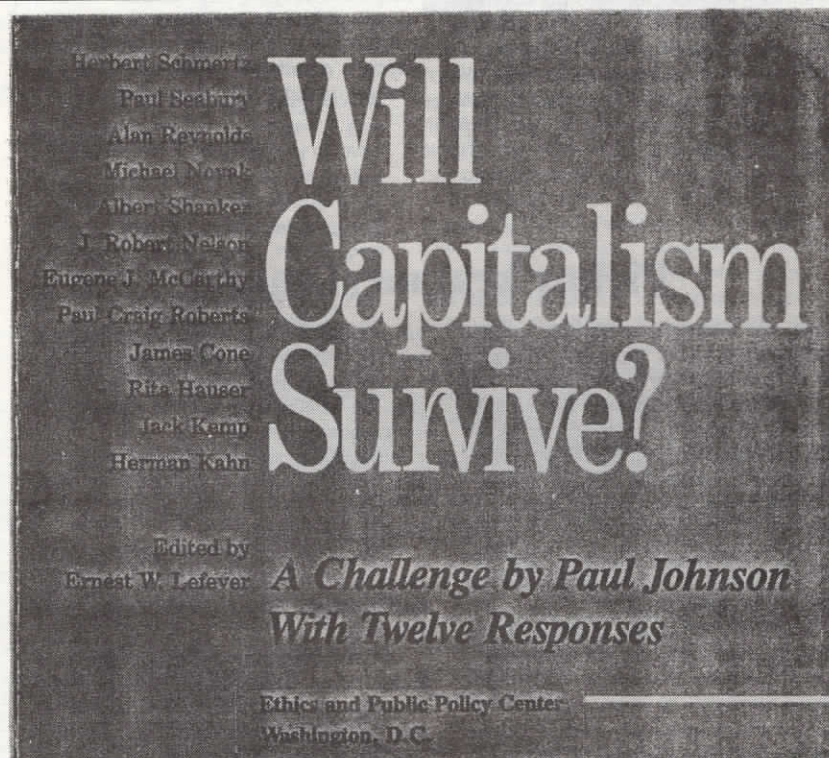
Broszurę rozpoczyna artykuł P. Johnsona pt. „Czy kapitalizm ma przyszłość”. Autor stwierdza w nim, że na przestrzeni 4,6 tysiąca lat kapitalizm był jedynym systemem gospodarczym, który zapewnił ludzkości odpowiednią obfitość dóbr. Wcześniej bowiem rozwój ludzkości był zagrożony przez Malthuzjańską pułapkę: okres powolnego wzrostu gospodarczego prowadził do przyrostu ludności przewyższającego efektywność gospodarki.

Ponieważ gospodarka nie mogła zapewnić dostatecznie dużo środków egzystencji wzrastającej liczbie ludności, powodowało to klęskę demograficzną. Spadek ludności powodował z kolei upadek gospodarki, powodując rozpoczęcie całego cyklu na nowo. Wedle P. Johnsona pułapka Malthuzjańska doprowadziła do upadku Cesarstwa Rzymskiego, była odpowiedzialna za katastrofalne skutki epidemii dżumy w połowie XIV w. i na nowo zaczęła zagrażać społeczeństwu europejskiemu pod koniec XVIII w., gdyby na arenę dziejów nie wkroczył kapitalizm, zapewniający dynamiczny rozwój gospodarki i obfitość dóbr materialnych. W XIX w. populacja klasy robotniczej podwoiła się, a płace wzrosły o 1600%. Dynamika rozwojowa cechuje także współczesny kapitalizm - świadczy o tym rozwój gospodarczy Niemiec po II wojnie światowej, czy przykład Japonii. Jednakże dzisiejszy (rok wydania broszury - 1979) kapitalizm jest poważnie zagrożony. Autor wymienia pięć źródeł tego zagrożenia. Są to w kolejności:

- 1) lewicowa postawa większości intelektualistów podważająca ideową legitymizację kapitalizmu,
- 2) „panika ekologiczna”, która zwraca się nie przeciw zatruciu środowiska, lecz przeciw samej idei wzrostu gospodarczego,
- 3) wzrost regulacji życia gospodarczego przez państwo zabijający wolną przedsiębiorczość,
- 4) wzrost przywilejów związków zawodowych ograniczający swobodę przedsiębiorców i zasadę konkurencji,
- 5) zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego.

Jedynym źródłem nadziei dla świata zachodniego są USA, gdyż tam w odróżnieniu od Japonii, Niemiec czy Francji tradycje kolektywizmu i państwowej gospodarki są najsłabsze, a duch wolnokonkurencyjnego kapitalizmu najsilniejszy. Wszystko zaś zależy od wyboru dokonanego przez poszczególne społeczeństwa w krajach demokracji zachodniej. Aby ten wybór uczynić w pełni świadomym i odpowiedzialnym zwolennicy liberalizmu winni rozpocząć „ofensywę ideową” podkreślającą przewagę wolnokonkurencyjnego kapitalizmu i definiującą zagrożenia płynące z zastąpienia go czymś innym.

Wypowiedzi osób, które bez zastrzeżeń zaakceptowały założenie pytania można podzielić na trzy grupy. Do pierwszej grupy należą te, które podzielają poglądy P. Johnsona próbując dalej rozwijać jego przemyslenia. Według np. M. Novaka systemy gospodarcze poprzedzające kapitalizm kładły nacisk na dystrybucję istniejących zasobów, a osobą reprezentatywną dla nich była postać skąpca. Natomiast kapitalizm postawił przede wszystkim problem zwiększonej produktywności zapewniając każdemu dostateczną ilość dóbr materialnych. Kapitalizm nie można ograniczać tylko do systemu zapewniającego gospodarce zwiększoną efektywność. Jest to system, który przyniósł społeczeństwu także wol-



APEL

Z inicjatywy środowiska „Obserwatora Wielkopolskiego” trwają prace nad opracowaniem bibliografii poznańskiej prasy niezależnej wydawanej w okresie od 13.XII.1981 roku do 31.XII.1989 roku. Prosimy o kontakt wszystkie osoby które mogą nam udzielić informacji o niezależnym ruchu wydawniczym w naszym mieście.

Prosimy także o udostępnianie egz. prasy niezależnej - po jej opracowaniu zapewniamy jej zwrot.

Prosimy o kontakt listowny na adres: „Bibliografia”, 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59
Zbigniew Rutkowski, Przemysław Zwiernik

ność i demokrację. Źródłem nadziei dla kapitalizmu jest nie tylko „ofensywa ideowa”, bowiem jest to środek zbyt słaby lecz „rewolucja podatkowa” - przekonanie społeczeństwa, że wzrost podatków przyczynia się do rozwoju biurokracji i obniża dochody wszystkich obywateli społeczeństwa (ponieważ wzrost podatków wliczony jest w cenę towarów).

Najliczniejszą była grupa artykułów wskazująca, że kapitalizmowi nie należy bronić poprzez likwidację wymienionych przez Johnsona „zagrożeń”, lecz poprzez odpowiednie wyważenie proporcji pomiędzy prawami związkowymi a kompetencjami właścicieli, regulacją rządową a wolną przedsiębiorczością, rozwojem gospodarki a ochroną środowiska itp. Trudno sobie np. wyobrazić współczesne społeczeństwo bez rozwoju nauki czy uniwersytetów, bez ochrony środowiska czy wprowadzające dyskryminację poszczególne grupy zawodowe. Rzecz tylko w odpowiednim wyważeniu proporcji.

Najmniej liczną była grupa wypowiedzi w ogóle kwestionująca istnienie kapitalizmu. Zdaniem tych publicystów problem nie polega na tym, czy kapitalizm przetrwa, lecz na tym czy powinien przetrwać. Odpowiedź jest jednoznaczna: „nie” ponieważ oznacza on władzę nad ludźmi i pogłębia różnice i nierówności społeczne wewnątrz samych społeczeństw kapitalistycznych oraz między I a III światem.

Do wyjątków należał artykuł Eugene J. Mc Carthiego „Korporacje skorumpowały kapitalizm”, który kwestionował samo założenie pytania sugerując, że jest ono postawione niewłaściwie ponieważ wolnokonkurencyjny kapitalizm zdefinio-

wany przez P. Johnsona już nie istnieje. Kapitalizm wolnokonkurencyjny został bowiem zastąpiony przez kapitalizm korporacyjny, w którym 80% produkcji jest kontrolowana przez korporacje (USA). Wielkie korporacje nie są wolno konkurującymi przedsiębiorstwami lecz instytucjami obdarzonymi specjalnymi prawnymi przywilejami. Stosowanie prawa wobec nich nie jest też egzekucją istniejących przepisów, ale odbywa się w formie negocjacji między rządem a korporacjami. Stąd, ta forma gospodarowania posiada olbrzymią przewagę nad indywidualnymi przedsiębiorstwami, nie mającymi dostępu do władzy państwowej. Wedle zapewnień przesadnych słów autora:



„To, co my mamy w Ameryce, nie jest wolnokonkurencyjnym kapitalistycznym systemem, lecz rodzajem korporacyjnego feudalizmu. Zgodnie ze szkolną definicją w systemie feudalnym każdy należy do kogoś i każdy należy jeszcze do króla. We współczesnym korporacyjnym kapitalizmie prawie każdy pracownik należy do korporacji, a te są zależne od rządu: federalnego, stanowego czy lokalnego.

Korporacyjnie kontrolowana ekonomia pozostawiła nas w sytuacji, w której istnieje rozszerzająca się bieda, poważne bezrobocie, zniszczone zasoby naturalne, deficyt i inflacja. Korporacje nie są całkowicie odpowiedzialne za tę sytuację. Niewątpliwie polityka zagraniczna czy takie czynniki jak wojna czy polityka finansowa i regulacje wywierają odwrotne efekty na całą gospodarkę i pewne specyficzne instytucje czy przedsiębiorstwa”. Zdaniem autora właściwie postawione pytanie winno brzmieć - „czy korporacyjny kapitalizm ma przyszłość”. Odpowiedź zależy od tego czy wielkie korporacje potrafią sprostać istniejącym problemom społecznym.

Widać więc wyraźnie, że omawiana dyskusja ma także i dla nas - żyjących w przeddzień reprivatyzacji gospodarki - inspirowane reperkusje. Ukazuje ona bowiem zwykłe oblicze kapitalizmu wolne od ideologicznych przeinaczeń dokonywanych przez ostatnie 40 lat przez komunistów a ostatnio przez ... środowiska liberalne, które mieszają obraz idealny kapitalizmu (taki jaki powinien być) z jego obrazem realnym (taki jaki jest). Pozwoli to nam uniknąć przedwczesnych rozczarowań. Niestety w polskim życiu politycznym brakuje tego typu dyskusji - musimy więc karmić się ich namiastką. Wizje polskiego życia parlamentarnego czy kształt naszej gospodarki wykuwały się podczas tajnych negocjacji w Magdalence lub w rozmowach z przedstawicielami MFW, a nie w trakcie otwartej dyskusji społecznej.

Piotr RAJSKOWSKI

OSTATNIE DNI RWPG

Przedstawiciele krajów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej podpisali porozumienie, rozwiązujące RWPG na spotkaniu w Budapeszcie, które odbyło się 28 czerwca br.

Odpowiedni protokół został już podpisany. Jak poinformował węgierski minister ds. stosunków gospodarczych Bela Kadar, wszystkie agendy organizacji zaprzestaną działalności w 90 dni po podpisaniu 28. 06 protokołu rozwiązania. Zostanie powołana specjalna komisja likwidacyjna, której zadaniem będzie podział mienia RWPG między członków organizacji. W przyszłości gremium ekspertów przedyskutuje ewentualnie nowe formy wzajemnej współpracy. Rozmowy na ten temat zostaną jednak podjęte dopiero po rozwiązaniu istniejących jeszcze struktur.

Nie zostały jeszcze podjęte żadne decyzje dotyczące powołania organizacji, która koordynowałaby współpracę gospodarczą w Europie Środkowej na nowych, uczciwych zasadach. Największą przeszkodą jest w tej kwestii stanowisko państw pozaeuropejskich - Kuba, Wietnam, Mongolia - które stojąc na gruncie dawnej ideologii postulują w pełnych dziedzinach nieekwiwalentną wymianę gospodarczą.

Piękny kraj na skraju.

Kiedy we Wschodniej Europie upadał komunistyczny reżim, kubańska społeczność w Miami na Florydzie zaczęła świętować koniec Fidela Castro. Ten festiwal trwa od roku, a jego uczestnicy wciąż nie mogą doczekać się upragnionego celu. Cathy Booth w artykule „Bigger Dreams than Ever” pisze, iż ostatni badania przeprowadzone przez Florida International University wykazały, że 79 procent Kubańczyków żyjących w Stanach popiera zbrojną akcję USA przeciw Castro.

Inwazja jest oczywiście czystą fantazją, lecz Kubańczycy są na nią bardzo podatni. Już zaczynają się spekulacje na temat lokowania pieniędzy na wolnej Kubie. Jorge Mas Camosa, głowa wpływowego Cuban American National Foundation, przyjaciel Georga Buscha, powołał w tym miesiącu specjalną komisję, która będzie opracowywała program ekonomiczny mający na celu rekonstrukcję gospodarki.

Mas wierzy w to, że otrzyma poparcie wpływowych finansistów, chcących w przyszłości inwestować na Kubie. Ponad 10 tysięcy młodych Kubańczyków - inżynierów, prawników, elektryków i mechaników, przygotowuje się na to, że

już niedługo będą mogli odbudowywać wyspę. Wbrew pozorom, Mas nie chce zostać przyszłym prezydentem, pewne jest, że zostanie głównym doradcą do spraw gospodarczych.

Amerykanie są bardziej sceptyczni i sądzą, że Kubańczycy śnią. Twierdzą, że minie jeszcze wiele czasu zanim Castro zrezygnuje z władzy.

Tymczasem do Miami, ciągle dobijają trątki z uciekinierami, choć brodaty boss zapowiedział liberalizację ustawy paszportowej.

Jak się zdaje największym paradoksem Kuby jest to, że odwiedza ją coraz więcej turystów. W 1989 roku rząd ustanowił bardzo atrakcyjną dla inwestorów ustawę pozwalającą działać spółkom joint-venture. Dlatego już teraz rosną jak grzyby po deszczu eleganckie hotele. W zeszłym roku Kubę odwiedziło ponad 300 tysięcy ludzi, w 1999 r. gospodarze spodziewają się półtora miliona.

Czy przewidywania te sprawdzą się - trudno powiedzieć. Pewne jest to, że kraj jest piękny, a piękne kraje nie giną, giną jedynie ludzie, a to już inna sprawa.

(P.K.)

Kryzys konstytucyjny w Jugosławii

Trwający od paru lat kryzys gospodarczy, pogłębiające się konflikty narodowościowe musiały pociągnąć za sobą kryzys polityczny. W ubiegłym miesiącu przybrał on postać kryzysu konstytucyjnego, polegającego na tym, że Prezydium Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Jugosławii nie wybrało swego przewodniczącego. Aby wyjaśnić podłoże i znaczenie tego kryzysu należy przyrzeć się konstytucji Jugosławii i genezie tej konstytucji. Konstytucja Jugosławii z 1974 r. w czwartej części zawiera rozdział zatytułowany „Prezydent Republiki”, poświęcony osobie Josipa Broz Tito. Zapisy w aktach najwyższej rangi (a zwłaszcza w konstytucji) dotyczące konkretnych, imiennie wymienionych osób, to evenement w światowym prawodawstwie. W rozdziale tym znajdujemy zapis:

„Przyjmując za podstawę historyczną rolę Josipa Broz Tito w wojnie narodowowyzwoleńczej i rewolucji socjalistycznej, powstaniu i rozwoju Socjalistycznej Federacji Republiki Jugosławii, rozwoju jugosłowiańskiego socjalistycznego społeczeństwa samorządowego, realizacji braterstwa i jedności narodów i narodowości Jugosławii, umocnieniu niezawisłości kraju i jego pozycji w stosunkach międzynarodowych oraz walce o pokój na świecie, a zgodnie z wolą wyrażoną przez ludzi pracy i obywateli, narody i narodowości Jugosławii — Skupszyna SFRJ może, na wniosek skupsztych republik i skupsztych okręgów autonomicznych, wybrać Josipa Broz Tito Prezydentem Republiki na czas nieoznaczony.”

Wybór na czas nieoznaczony to wybór dożywotni. Nie należy też przywiązywać większej wagi do sformułowania, że Skupszyna może wybrać. Gdyby wybór taki nie był z góry przesądzony, zapis ów nie znalazłby się w konstytucji.

Omawiana konstytucja stanowiła również w pewnym sensie polityczny testament Josipa Broz Tito. Ponieważ, mimo swej dyktatorskiej władzy nie mógł ustanowić prezydentury dziedzicznej (na wzór monarchii dziedzicznej), a tym bardziej zapewnić sobie nieśmiertelności; musiał więc szukać organizacyjnego rozwiązania kierowania państwem po jego śmierci. Zdawać musiał sobie sprawę z tego, że gdy go zabraknie, z braku równie mocnej osobowości powstanie luka, która będzie idealnym pretekstem do sporów i waśni opartych na ambicjach osobistych, a w przypadku Jugosławii również narodowościowych. Wymyślił więc „kolegialnego prezydenta” — Prezydium SFRJ. W skład Prezydium wchodził jeden członek z każdej republiki i każdego okręgu autonomicznego, wybierany przez skupsztyń republiki lub skupsztyń okręgu autonomicznego. Kadencja Prezydium SFRJ trwała 5 lat. Zgodnie z przepisami o prezydencie był on przewodniczącym Prezydium SFRJ. Po śmierci dożywotniego prezydenta znalazł zastosowanie art. 327 konstytucji. Zgodnie z tym przepisem Prezydium RSFJ wybiera spośród swoich członków przewodniczącego i

wiceprzewodniczącego na okres roku według kolejności ustalonej regulaminem. Mając na celu zagwarantowanie przedstawicielom wszystkich republik i okręgów równych szans w wykonywaniu funkcji przewodniczącego oraz uniknięcie przetargów między nimi w regulaminie przyjęto zasadę automatyzmu zmian na tym stanowisku. W ustalonej kolejności zmiana następcą ma tak, że dotychczasowy zastępca staje się na następny rok przewodniczącym. Głosowanie nad zmianą przewodniczącego było w tej sytuacji zwykłą formalnością. Było, ale do tego roku. Zgodnie z przedstawioną zasadą regulaminu przewodniczącym Prezydium SFRJ powi-

lować jak skończy się ów kryzys konstytucyjny i jaki będzie scenariusz dalszych wydarzeń jugosłowiańskich. Pragnę jedynie na podstawie opisanych faktów, zwrócić uwagę na to jak sztucznym, faszadowym tworem była Jugosławia prezydenta Tito. Za jego czasów wielu Polaków zachwycało się jugosłowiańskim modelem socjalizmu: samorządami, otwartością na Zachód, wymienialnością dinara, poziomem życia. Konfliktów nie było widać. Ale, jak przekonuje nas dzisiejsza rzeczywistość one istniały, nie miały jednak możliwości się ujawnić i przez to narosły do obecnych rozmiarów. Tito był symbolem jedności (każdy dyktator oddziałuje integracyj-



nien zostać przedstawicielem Chorwacji Stipe Mesic. W głosowaniu uzyskał on jednak tylko 4 głosy (na 8 członków Prezydium).

Brak formalnego przewodniczącego ma ogromne znaczenie prawne i polityczne. Prezydium SFRJ ustanowione zostało jako „kolegialny prezydent”, jednakże wiadomo, że niemożliwością jest wykonywanie wszystkich funkcji prezydenta (zwłaszcza wielu funkcji bieżącego kierowania i zarządzania) przez całe 8-osobowe kolegium. Niektóre więc kompetencje przyznane zostały przewodniczącemu. Ze względu na istniejące obecnie napięcia społeczne i narodowościowe warto wymienić jedną z nich: „Przewodniczący Prezydium SFRJ, w imieniu Prezydium SFRJ, sprawuje dowództwo sił zbrojnych Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii zgodnie z niniejszą konstytucją i ustawą związkową”. Brak przewodniczącego, oznacza więc brak naczelnego dowódcy. Nie zamierzam speku-

nie), ale była to jedność sztuczna, wymuszona, czego dowodem mogą być na przykład wyniki przeprowadzonego ostatnio w Chorwacji referendum. Sytuacja związana z wyborem przewodniczącego Prezydium SFRJ jest z kolei dowodem na to, że struktura organów państwowych jest dysfunkcyjna w obecnej rzeczywistości, tym bardziej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że od pewnego czasu faktyczna rola Prezydium w stosunku do konstytucyjnych kompetencji systematycznie maleje. Koncepcja „kolegialnego prezydenta” i rotacyjnego przewodniczącego tego organu nie okazała się więc receptą na spokojne i harmonijne rządzenie wielonarodową Jugosławią. Istniejące problemy we wszystkich sferach zdają się nie maleć, lecz narastać.

Tak właśnie rządzi Jugosławią duch Josipa Broz Tito.

Stanisław PISKORZ

Nietolerancja siebie nieświadoma

Pisząc ten szkic mam świadomość, że niemożliwe jest to by żyjąc najpierw prawie pół wieku w systemie komunistycznym, obudzić się nagle w kraju rządzonym na modłę konserwatywno-liberalną. Tym bardziej, że bliska tradycja nie przemawia za szukaniem rozwiązań w tym duchu. Nie zwalnia to jednak od obowiązku przedstawiania projektów organizacji przestrzeni społecznej i politycznej, które według mnie najlepiej służą rozwojowi jednostki. Z naciskiem podkreślam: rozwojowi jednostki, bowiem większość koncepcji dotyczących demokratycznego państwa zakłada z góry, że ustroje polityczne powinny być ekspresją jednolitych wspólnot moralnych. Dotyczy to w równej mierze koncepcji lewicowych co konserwatywnych. Jest to pogląd lansowany przez ludzi związanych z kościołem katolickim, konsekwencją takiego stanowiska jest próba utożsamiania katolickiego narodu z pań-

stwa społecznego, ale również dla kościoła katolickiego, z czego światlejsi jego przedstawiciele doskonale zdają sobie sprawę, z problemów przed jakimi przed jakimi kościoł stanął w pluralistycznym społeczeństwie. W samej istocie Kościoła zawiera się skłonność, do zagarniania, żeby nie użyć słowa zbyt mocnego, totalitaryzowania społecznego życia. Do niedawna jeszcze istniała stała presja powodująca unikanie wystąpień polemicznych ze stanowiskiem Kościoła. Istnienie tej presji dzisiaj, która jest pozostałością faktu wstrzymywania się od krytyki Kościoła w sytuacji, gdy był obłożony twierdzą, aby nie podsuwać argumentów komunistom, świadczy o nie całkiem normalnej atmosferze politycznej. Nie świadczy to jednak, że taka sytuacja będzie trwać wiecznie. Tym bardziej jeśli kwestiami spornymi są jedynie te - dotyczące sposobu organizacji życia społecznego. Czasem można odnieść wrażenie, że z

trudno człowiekowi świadomemu bezcennego daru wiary przechodzić z obojętnością wobec niewierzącego, że chciałby on swoją najwyższą cenioną wartością dzielić się z innymi. Jest więc naturalne, że Kościół modli się o łaskę wiary dla niewierzących (mniej naturalne są przepisy i naciski administracyjne, np. w związku z udzielaniem sakramentów, czy prowadzeniem katechety, o czym była mowa.) Podjęty problem dotyczy bardziej ludzi świeckich niż duchownych — to świeccy stykają się na co dzień z niewierzącymi: Wyjście jest tylko jedno: uszanować autonomię każdego człowieka, każdy stosunek do religii."

Czytając początek zdania: „Wyjście jest tylko jedno” odnosi się wrażenie, że brakło stwierdzenia: niestety. Sądzę, że odczuwa się w tym wyznaniu rezygnację z ograniczonej skuteczności perswazji. W moim przekonaniu winno to zabrzmieć jak imperatyw kategoryczny: Trzeba uszanować. I bynajmniej nie jest to czepianie się słów, ale odsłanianie pewnego mechanizmu myślenia, w którym nie ma mowy o autentycznym równouprawnieniu wszystkich ludzi. Mechanizm obecny już dwa lata temu, ale chyba w zasadzie uniwersalny. Jeżeli ten typ myślenia skądinąd katolickiego intelektualisty opanowałby życie społeczne, byłoby to bardzo niepokojące, między innymi ze względu na pedagogiczne skłonności ustalania innych skali wartości z tytułu faktu przynależności do katolickiego narodu. Tkwi w tym niebezpieczeństwo, które nie wynika ze złej woli, co raczej z braku „socjologicznej wyobraźni”. Przekonanie, że człowiek winien być głęboko osadzony w tradycji, np. tylko religijnej, nie wytrzymuje konfrontacji z życiem społecznym, gdyż wbrew pozorom nie kształtujemy się w jednorodnej kulturowo przestrzeni, lecz przynależymy jednocześnie do kilku.

I dalej fragment wypowiedzi tej samej osoby: „Otwarcie Kościoła powinno obejmować zatem także poszanowanie wewnętrznej autonomii człowieka, tolerancję wobec różnych postaw i światopoglądów. Kościół nie może jednak zrezygnować z nazywania po imieniu dobra i zła, musi ukazywać wektory w dążeniu do Prawdy, także w życiu społeczno-politycznym. W tym sensie Kościół musi być obecny w całości kształcie życia polskiego.”

Otóż o ile sytuacji walki z komunizmem nazywanie dobra i zła nie wydawało się zawile i nikt nie może podważać znaczenia Kościoła w tej walce, to w nowej sytuacji, kwestia zbyt narzucającej się obecności Kościoła w życiu politycznym winna podlegać samoograniczeniu, aby nie powtórzyły się bolesne i niepotrzebne błędy. Myślę, że Kościół nie musi być koniecznie obecny skoro jest. Ale dostrzegam w tej wypowiedzi dogmat o nieomyślności. Ta kategoryczność brzmi bardzo ostro, wobec



stwem. Dobrą odpowiedzią na te anachroniczne usiłowania jest ponowna refleksja nad dziejami polskiego katolicyzmu, szczególnie tego okresu, tak często przywoływanego jako powód do dumy narodowej, mianowicie czasów tolerancji religijnej. Ta refleksja wywija nie tylko szacunek dla stosunków religijnych w Rzeczypospolitej, ale jednocześnie skłania do rozważań nad jego dzisiejszą kondycją i dokonującymi się przekształceniami. I nie przez przypadek właśnie teraz pojawia się ta potrzeba wywołująca z obawy przed odrodzeniem się endeckich obsesji, a co za tym idzie takiego kształtowania przestrzeni życia społecznego i politycznego, w którym podmiotem miałby być naród katolicki. Jego umacnianie odbywało by się nie tylko poprzez oddziaływanie duchowe, co jest naturalne i pożądane (choć nie obojętne w jaki sposób), ale poprzez politykę wyznaniową i klerykalizm. Być może te obawy są przesadzone i raczej jestem skłonny wierzyć jedynie w ich akcydentalne, przejawy. Co najwyżej teatralne, bowiem nie wierzę, aby ktoś w tym kraju poważnie bał się księdza. Niemniej jest to zagrożenie nie tylko dla

tradycji polskiej tolerancji pozostało jedynie słowo tolerancja, jako dowód samousprawiedliwiający nieświadomość, ignorancję, złe nawyki, fasadową religijność. Nieświadomość faktu, że sfera sumienia to sprawa delikatna, która poucza, że przestrzeni społecznej nie może monopolizować religia, jakkolwiek by ona nie była, że sfera sacrum pozostaje przede wszystkim sprawą sumienia, rodziny, związku wyznaniowego, nigdy społeczeństwa. Trudno to pogodzić z misyjnym charakterem Kościoła, dla którego np. niewierzący, czy agnostyk — postawy często dzisiaj spotykane, to potencjalny nawrócony i nic więcej, człowiek który nie dojrzał jeszcze do ujścia prawdy.

Z dyskusji redakcyjnej, która odbyła się w „Przeglądzie Powszechnym” (P.P. 7/8, 1989) pod tytułem „Kościół i Pluralizm” chciałbym zacytować znaczącą wypowiedź, bardzo dobrze charakteryzującą stosunek ludzi Kościoła do przedstawicieli innych opcji światopoglądowych. (B. Chruszowska) „Osobną i delikatną sprawą jest stosunek do niewierzących. Myślę, że

podkreślanej i tak naturalnej skłonności Kościoła do wchodzenia w życie społeczne.



Cóż, jak już zauważyłem, tolerancja religijna z okresu szczególnej pomyślności Rzeczypospolitej, w tym, o czym się zapomina, również ekonomicznej, może służyć nie tylko jako slogan, ale może być źródłem, na którym można wzorować ducha ówczesnego życia społecznego i politycznego. Ówczesne doświadczenia były rzeczywiście, w porównaniu z tym, co działo się w innych krajach europejskich, czymś doprawdy fascynującym. I choć tolerancja wynikała w dużym stopniu z układu sił, to jednak decydujące znaczenie miało niezwykle silne poczucie instynktu państwowego przez szlachecką społeczność. Ten instynkt był sprzężony z jednostkowym poczuciem wolności. Ta sytuacja stwarzała przestrzeń, w której mogły znaleźć miejsce różne wyznania, religie i narodowości. Polania dla Żydów w ich języku znaczyła „tu mieszka Bóg”, o czym zapomina się, kiedy utożsamia się Polaka z antysemitą. Oczywiście, żeby nie ulec sentymentalnym skłonnościom, należy zaznaczyć, że nie była to idylla. Ale nie można na Rzeczypospolitą patrzeć w oderwaniu od tego, co działo się w Europie. Szokował gorliwych obserwatorów przybywających z katolickich Włoch, Hiszpanii czy Francji kształt polskiego społecznego życia. „Jakże zdumiony był np. dominikanin hiszpański, Damian Foseca, odbywający w latach 1617-1619 gruntowne wizytacje klasztorów swego zakonu w Rzeczypospolitej” — pisze Jerzy Kłoczowski w „Zarysie dziejów Kościoła Katolickiego” — „gdy na dworze księcia Jerzego Czartoryskiego w Sarnach na Wołyniu, dokąd przybył na Boże Narodzenie 1617 r. dla ochrzcenia syna książęcego, zastał w najlepszej harmonii szlachtę katolicką, prawosławną i arianą, i co więcej, w trakcie wspólnych uczt książę zażądał od naszego dominikanina odbycia dysputy na temat bóstwa Chrystusa.” Tylko w takiej atmosferze, a była to sytuacja typowa, możliwe było prowadzenie dialogu między wyznaniem, co dowiodło, pomimo ostatecznego fiaska tej drogi, rozumienia podstawowych interesów państwa w dobie wielkich wojen religijnych. Można sądzić, że brak ostrzejszych konfliktów na tle religijnym wynikał również z tego, że surowość i rygoryzm wymagał bez względu na wyznanie były Polakom obce.



Ale sytuacja zmieniła się. Począwszy od dyskusji o statusie różnowierców, co do-

prowadziło do wygnania arian, dyskusja trwa do dzisiaj nie wydaje się być zamknięta, choć właściwie jest raczej przywoływaniem emocjonalnym resentymentów, które dawno by zniknęły z polskiego życia, gdyby nie komunistyczna, półwieczna presja.

Dlatego więc, czemu by nie zlekceważyć tej kilkunastuletniej dyskusji i nie zawiązać do idei demokratyzmu szlacheckiego, u którego podstaw w jakimś sensie leżała liberalna koncepcja, w której sprawą drugorzędną było wyznanie. Będzie to możliwe, jeśli nie pojawią się neoendeckie obsesje i demagogia domagająca się zagwarantowania prawnego uprzywilejowania roli Kościoła Katolickiego, co automatycznie spowoduje uprzywilejowanie jednej grupy społecznej, czego zwolennikami są przedstawiciele Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Otóż nie można byłoby mieć zastrzeżeń do takiego projektu, gdyby społeczeństwo polskie było w całości katolickie, ale wtedy podejrzewam, że nikt by nie zauważył takiej konieczności. Trudno jest mniemać, że społeczeństwo polskie jest kulturowym monolitem. Możemy przypuszczać, że to w ramach pluralistycznego społeczeństwa będą się nasilać procesy różnicujące kulturowo różne jego grupy. Ten pluralizm kulturowy Rzeczypospolita już znała i potrafiła sobie z nim radzić z pożytkiem dla szlacheckiego społeczeństwa. Nie był jej prześlęstwem, a wręcz czymś przeciwnym.



Trudno dzisiaj nie zauważyć, że społeczeństwo polskie (nie mówiąc o mniejszościach narodowych), choć pozornie wydaje się skupiać wokół jednej tradycji kulturowej, jest zróżnicowane i to w stopniu ujawniającym cały wachlarz postaw i stylów życia. W życiu codziennym spotykamy ludzi religijnych oraz takich, dla których religia jest rzeczą mało istotną. Można zaobserwować ogromne zróżnicowanie postaw wobec seksu, płci, małżeństwa. Otóż, zamiast wskrzeszać zaprzęte obsesje i starać się prawnie regulować to, co regulacji naszej nie powinno podlegać, czyli uprzywilejowanie jakiegokolwiek grupy społecznej. Należy raczej formułować pytania wybiegające w przyszłość, a dotyczące organizacji społecznego życia, które brałoby pod uwagę tę różnorodność, przypominając, że tolerancja to „produkt uświadomienia sobie niemożności pogodzenia dwóch wiar w równym stopniu dogmatycznych oraz tego, że całkowite zwycięstwo jednej nad drugą praktycznie rzecz biorąc nie jest prawdopodobne” (Isaiah Berlin)

Łucjan RADGOSZCZ



Co mnie śmieszy — polska prasa

Wiele śmiesznych rzeczy dzieje się ostatnio na łamach polskiej prasy. Rekord pod tym względem pobił jednak prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Maciej Kłowiecki na łamach tygodnika „Spotkania”, którego notabene jest redaktorem naczelnym. Oto pan prezes oznajmia, że „rośnie odpowiedzialność dziennikarzy za kształtowanie świadomości obywatelskiej społeczeństwa”. Na czym polega ten wzrost i jak go mierzyć, prezes niestety nie wyjaśnia. Wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę, aby zorientować się, że jest zgoła przeciwnie.

Oto „Prawo i Życie”, tygodnik noszący w stopce redakcyjnej informację, że jest związany ze Zrzeszeniem Prawników Polskich zamieścił w numerze 21 felieton Jacka Bukowskiego, w którym czytamy: „Po prostu uważam, że Tymosiński jest wielkim zagrożeniem dla Polski. Czuję to intuicyjnie, być może nie potrafię jeszcze dokładnie wyartykułować wszystkich podstawowych punktów tego zagrożenia”. Dlaczego gazeta zamieszczająca taki tekst nazywa się „Prawo i Życie” trudno dociec. Z życiem ma to oczywiście olbrzymi związek, z prawem jednakże wcale. Postuluję więc, aby zmienić nazwę na np. „Czucie intuicyjne i Życie” i drukować różnego rodzaju przepowiednie i przecucia utalentowanych dziennikarzy.

W „Tygodniku Solidarność” (nr 22) Piotr Semka w artykule „Zdaniem optymisty” pisze: „Z OKP wyłoniły się najprzeróżniejsze siły polityczne, z których niektóre niechętnie wspominają dziś solidarnościowy rodowód. Solidarność oddała najlepsze swe siły sejmowi i senatowi”. Jak rozumieć te dwa zdania? Jeżeli najlepsze siły „Solidarności” niechętnie ją wspominają, to oznacza, że siły te nie były takie najlepsze. Autor nie rozwija tego wątku, a szkoda, bo oznaczałoby to przyznanie się do tego, że dobór związkowych kadr, po konspiracyjnym okresie, był fatalny. A dlaczego? Dlatego, że nie opierał się na oddolnym wyborze, tylko na wskazywaniu palcem (kto wskazywał?), kto może i jest godzien zostać przewodniczącym, posłem czy senatorem. Pod palec podsuwali się ludzie o różnym autoramencie, ale którzy w tym okresie wykazywali dyspozycyjność w stosunku do wskazującego.

Aby rozweselić czytelnika pozwolę sobie zacytować jak zawsze nieocenionego Janusza Korwin-Mikke („Brulion” nr 16), który namiętnie wypowiada się ostatnio o Tymosińskim: „Niestety, Tymosiński w rzeczywistości nie okazał się takim libertarianinem, na jakiego wyglądał. Ale notabene wielu ludzi z kontrwywiadu to ludzie znacznie porządniejsi od wielu z „Solidarności”. Muszę poza tym Panu powiedzieć, że mniejszym niebezpieczeństwem jest współpraca Tymosińskiego z KGB niż na przykład z CIA”.

Pytanie do czytelników — na kogo wygląda Tymosiński?

Zbigniew JAGIELLO

Było to pod koniec 1951-go roku. Żona moja, córka wyższego oficera francuskiego, prawdopodobnie z racji swego pochodzenia, otrzymała w Londynie dobrze płatną pracę jako guwernantka w rodzinie brygadiera, generała armii angielskiej, który właśnie wrócił z Malajów. Otrzymałem więc zaproszenie na którąś z kolei „homecoming party”.

W kampanii antykomunistycznej na Malajach brygadiera dowodził jakimś pułkiem, w którym była większa ilość zdemobilizowanych żołnierzy polskich. Wybrali oni po demobilizacji Drugiego Korpusu, zamiast ofiarowanej im pracy w kopalniach, służbę w armii angielskiej broniącej resztek swych kolonialnych wpływów na Dalekim Wschodzie.

W czasie rozmowy po którymś tam z kolei kieliszku brandy, rozmowa zeszła na moje wspomnienia z kampanii wrześniowej, walk w Wogezach i moje wrażenia jako marynarza z inwazji Włoch, a później Normandii. Brygadiera usiłował przypomnieć sobie nazwiska polskich oficerów, którzy w 42-gim roku otrzymali przydziały do wojsk angielskich w Afryce i nadmieniał, że Polacy w jego pułku na Malajach byli najlepszymi żołnierzami, jakich kiedykolwiek spotkał. I wtenczas, jakby niechcący wspomnieli: „ci durnie, moi znajomi ze Sandhurst, nie zdawali sobie sprawy, gdy nakazali mi przygotować się na ewentualność zebrania wszystkich Polaków na terenie Wielkiej Brytanii i odstawienia ich do dyspozycji Stalina. Może i wtenczas i Ciebie musiałbym eskortować” — zakończył swe rozmyślenia, klepiąc mnie po ramieniu.

Teraz, w 1990-tym roku, prawie 45 lat po tej rozmowie przyznaję się, że przechodzą mnie ciarki. Wielu z nas — tysięcy Polaków — nie przypuszczało wówczas, że nasi sprzymierzeńcy, że samo bożyszcze nie tylko narodu angielskiego, ale całego wolnego świata, Churchill, byłby zdolny do tak haniebnego uczynku. Przecież ten sam Churchill, gdy u jego boku, po debaklu Dunkierki pojawił się gen. Sikorski, powiedział: „Z Tobą, generale, Anglia do końca na śmierć i życie!”. I ten sam Churchill, gdy gen. Anders przedstawił mu problem zdrady jałtańskiej, beczelnie oświadczył, że polskie dywizje nie są mu więcej potrzebne. Niestety Bóg powierzył Andersowi honor Polaków. Hekatomba najlepszych polskich żołnierzy pokryła stoki Monte Cassino, Ankony, Bolonii. Książę Józef Poniatowski znalazł stawę w Elsterze. Anders i kilku generałów zadowolili się skromną emerytalną pensją. Żołnierzom przypadły obrzynki ze stołu „jaśnie królowej” w postaci PKPR.

Prawdopodobnie tajemnica pokryje na zawsze perfidne plany polityki Albionu gotowego zawsze sprzedać za garstkę soczewicy wszystko i wszystkim. Nie zapominajmy, że Stalin posiadał swoje wtyczki w najbardziej czułych i ważnych środowiskach, nie tylko polityki angielskiej. W czasie katastrofy gibraltarskiej przebywał tam największy zdrajca angielski Kim Phil-

O, SANCTA SIMPLICITAS! (O ŚWIĘTA NAIWNOŚCI)

by. Bez przesady można orzec, że nie było tajemnicy tak strategiczno-politycznej, jak i ekonomicznej, o której Stalin nie byłby poinformowany. Zresztą wpływy sowieckie w dalszym ciągu działają. Prasa międzynarodowa grzeszy niesamowitą wprost naiwnością obojętnie czy świadomą, czy nieświadomą. Jak dotąd historycy uchyliłi zaledwie część tragicznych wypadków pokrytych bądź tajemnicą archiwów, bądź też świadomym zaktamaniem politycznych spekulantów. Najlepiej o tym świadczy historia wyciszenia Sołżenicyna oraz prabratanka Lwa Tołstoja, obecnie obywatela angielskiego, znanego historyka księcia Mikołaja Tołstoja. Niedawno skończył się proces przeciw Mikołajowi Tołstojowi przed sądem angielskim. Został skazany za zniesławienie lorda Albingtona, brygadiera i szefa sztabu 5-tej Armii, który był odpowiedzialny za przymusowe przesiedlenie do sowieckiej Rosji i titowskiej Jugosławii prawie trzech milionów jeńców, dezertersów oraz białych Rosjan, którzy nigdy nie byli obywatelami sowieckimi. Wydano tysiące „cetników”, zwolenników gen. Michajłowicza, Stowienicowa i Kroatów wraz z rodzinami i dziećmi.

W 99-ciu procentach zostali oni wymordowani natychmiast po ich przekazaniu. Wydano ich nawet z niewoli amerykańskiej. Wielu z tych nieszczęśliwców popełniło samobójstwo, o czym świadczą po dzień dzisiejszy groby na cmentarzu Fort Dix w New Jersey.

Historia tego pogwałcenia praw jenieckich, a przede wszystkim ludzkich, wywodzi się z układów jałtańskich zawartych w lutym 1945 roku. Jest to po dzień dzisiejszy czarna plama na honorze wojsk angielsko-amerykańskich. Tę oto haniebną działalność „sprzymierzeńców” opisał Mikołaj Tołstoj w książce pt. „War crimes College”. Na razie czołowa postać tej książki, lord Aldington wygrał proces o zniesławienie. Wyrok jest poddany apelacji i prawdopodobnie wyższa instancja uchyli to orzeczenie zniewolonych sędziów. Wkrótce ukaże się ciąg dalszy tej historii.

Dalsza praca Tołstoja to „The minister and massacres”. Nowe wybory w pierestrojkowej Jugosławii na terenie Słowenii i Kroatii odchylił dalszy rąbek tajemnicy tych zbrodni. My Polacy, wśród których już niewielu pamięta te czasy, powinniśmy zainteresować się tymi sprawami należącymi, zdawałoby się, do odległej, prawie zamierzchłej przeszłości. Przecież te sprawy dotyczyły i nas. Polityka, przede wszystkim Anglosasów, nie uznaje długów wdzięczności nawet za krew, która użyźniła rosnące maki pod Monte Cassino. Za każdą kroplę polskiej przelanej nie tylko w Katyniach, ale na wszystkich pobojuwiskach drugiej wojny

światowej, przyszli polscy politycy powinni domagać się, jak Shylock, tony odszkodowań dla Polskiego narodu. Za każdą kroplę krwi straconej w obronie „ich” wolności. Dzisiaj, gdy 178 tysięcy Żydów, którzy ocalili z holocaustu otrzymuje sute odszkodowanie, dzisiaj, gdy eneradowski Modrow uznaje, że i Wschód, nie tylko Niemcy, są współodpowiedzialni w stosunku do Żydów, dzisiaj gdy miliony Polaków zamordowanych w kacetach i zesłanych na roboty wraz z milionami zaginionych w Lubiankach i tajgach, nikt nie otrzymuje żadnego odszkodowania. „Solidarność” jedynie błaga o ulgi w spłacaniu procentów za wmuśnione w polską ekonomię pożyczki, które wpłynęły do kasy Wielkiego Brata. A nasze Jaruzele i szubrawcy w rodzaju Rakowskich dziękują za rzekomą troskę o nasze zachodnie granice wobec widma zjednoczonych Niemiec. To, że na ten temat milczy „Solidarność”, to nic dziwnego. Ich historycy podkroju Geremka wolą studiować dzieje prostytucji w średniowiecznej Francji, aniżeli badać wiarygodność zapewnienń sowieckich Majskich czy też Mołotowów. Nasz londyński Rząd wobec znieczulicy finansowej emigracji cierpiący braki gotówkowe, na razie milczy. Oby Czytelnicy moich rozmyślań uczynili w przyszłości wszystko, co możliwe, aby wbrew zalewającego nas materializmu utrzymali godność i interes Narodu Polskiego na czele swoich obowiązków. Kiedyś zdobyte na Polakach sztandary zawieszane na murach Kremla szeptały „za naszą i waszą wolność”.

Za naszą i angielską wolność ginęli polscy lotnicy w bitwie o Anglię. Ginęła szara piechota za wolność Francuzów i Włochów.

Ofiary ich poszły na marne. W Paradyżu Zwycięstwa Polacy nie wzięli udziału. Delikatne sumienia angielskie nie zniosłyby tego cierpienia w ich laurowym wieńcu.

De Gaulle był pierwszym, który uznał reżim lubelski.

Żadne mocarstwo nie zaprotestowało przeciw Jąćcie i Poczdamowi.

/.../

Oby już nigdy żaden Polak nie walczył i nie ginął za „Waszą” wolność. Dbajmy przede wszystkim o NASZĄ WOLNOŚĆ. W przeciwnym razie nie pomogą nam żadne przepowiednie Saby, Kassandry, Nostradamusa, Wernyhory ani posiadacza imienia „czterdzieści i cztery”.

Oby mój pesymizm okazał się złudnym, a słowa przeminęły i rozplynęły się nicość.

Tadeusz UNGAR

/przedruk za 233 n-rem pisma „Listy do Polaków” (Letters to Poles Magazine) wydawanym od 21 lat w USA przez Pana Czesława Maliszewskiego/

Sytuacja Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej w Polsce

jest diametralnie inna niż w ZSRS m.in. przez to, że tam wierni usiłują walczyć o możliwość odprawiania nabożeństw w odebranych im cerkwiach, tu zaś cerkwie stoją puste...

W Polsce w wysiedlonych wsiach pozostały opuszczone świątynie. Część z nich została przejęta przez Kościół Rzymskokatolicki i Cerkiew Prawosławną, większość jednak pozostawiono bez opieki. Z tych niezabezpieczonych cerkwi przetrwała 1/5, tj. ok. 60 obiektów, stanowiących niezwykle cenny zestaw półzabytkowy.

Wojna, w porównaniu z późniejszą długoletnią i programową akcją niszczenia tej części dziedzictwa wielonarodowej Rzeczypospolitej, poczyniła niewiele szkód. Wystarczy powiedzieć, że w okresie powojennym w diecezji przemyskiej zniszczono 330 z 655 cerkwi, w tym 260 drewnianych (nie wliczając świątyń prawosławnych).

Z bogactwa i wspaniałości kultury chrześcijańskiego Wschodu, z której przez wieki czerpał i nasz naród, zdają sobie sprawę Niemcy, Francuzi, Anglicy, tylko nie my. My, jak zawsze, zostajemy w tyle... Wina nasza polega na tym, że nie zadaliśmy nawet o uszanowanie pozostałości na naszej łasce świątyń, świątyń katolickich (jakże często podkreślamy ten przymiotnik, kiedy ma przydać nam splendoru).

Dzięki staraniom Krakowskiego Konserwatora Zabytków, Bogdana Tretera wiele spośród bezcennych dzieł sztuki sakralnej nie zostało wywiezionych w 1945 r. przez deportowaną ludność ukraińską za granicę. Niestety, „ocalone” wyposażenie wnętrza cerkiewnych dewastowano i rozkradano, a w świątyniach rozlegało się pobekiwanie zamykanej tam na noc trzódki...

Jakkolwiek niesprawiedliwym jest obarczanie odpowiedzialnością za te niechlubne dokonania wszystkich Polaków, niemniej wszystkim nam powinno być chociaż wstyd.

Do dzisiaj stoją w wielu wielu wioskach niechciane cerkwie, które można było wy-

korzystać np. na kościoły czy kaplice, zamiast budować nowe obok.

W 1987 r. niżej podpisani inwentaryzowali zagrożone zniszczeniem cerkwie w woj. przemyskim. Następnie zorganizowano grupę złożoną ze studentów historii sztuki, architektury, archeologii i innych z kilku uczelni w kraju, działającą obecnie jako klub Sztuki Cerkiewnej „Jeu-nuesse et Patrimoine” ICOMOS (Światowa Rada Ochrony Zabytków).

W czasie ostatnich wakacji, pracując nieodpłatnie w oparciu o bardzo skromne i z trudem wygospodarowane fundusze, zabezpieczono i wykonano dokumentację pomiarową drewnianej cerkwi w Miększym Starym w woj. przemyskim. Myślimy o kontynuowaniu prac w b.r. przy wspomnianym obiekcie oraz innych niemniej zagrożonych i cennych cerkwiach. Zakres tych prac zweryfikuje jednak zwykła finansowa wydolność.

Zwracamy się z prośbą o wsparcie tej i podobnych inicjatyw przez społeczeństwo oraz przychylność miejscowej ludności. Niech nie zostanie zniszczona już ani jedna cerkiew, niech każda świątynia będzie Domem Bożym, a nie zdemolowaną składnicą sztucznych nawozów!

Niegdyś w Rzeczypospolitej chrześcijaństwo różnych wyznań i obrządków, katolicy rzymscy, greccy i ormiańscy, prawosławni i protestanci, oddawali cześć jednemu Bogu najlepiej i najpiękniej jak potrafili.

Św. Ireneusz 200 lat po narodzeniu Chrystusa powiedział, że jeden jest ołtarz w niebiosach, na który zanosimy wszystkie nasze modlitwy. Czy nauczymy się na nowo dostrzegać nie tylko to, co nas dzieli, lecz widzieć także różnorodność, będącą prawdziwym bogactwem, zależą od nas samych.

Jarosław Giełma

Stalowa Wola
ul. Czarnieckiego 9/57

Jerzy Tur

Rzeszów
ul. Jagiellońska 48/64

nie należy ani do pierwszej, ani do drugiej grupy wspomnień. Autor przedstawia w niej rozmowy z uczestnikami Sierpnia — z tymi, którzy znaleźli się u boku Wałęsy i z tymi odsuniętymi. Rozmówcami autora są ludzie wywodzący się ze środowiska gdańskiego Wolnych Związków Zawodowych, Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”. Przez stronicę książki przewijają się między innymi postacie: J. Borowczaka, B. Borusewicz, J. Duda-Gwiazdy, A. Gwiazdy, L. Kaczyńskiego, T. Klinewicza, B. Lisa, A. Szablewskiego, A. Walentynowicz, F. Wiśniewskiego, K. Wyszowskiego. Niektóre z osób na kartach książki pojawiają się raz, inne przewijają się wielokrotnie — w zależności od ich udziału w tworzącej się historii. Wypowiedzi uczestników Sierpnia podzielone są na trzy części: pierwsza — obejmuje okres organizowania się Wolnych Związków Zawodowych, druga — ukazuje kulisy organizowania MKZ-tu w Gdańsku. W zamierzeniu autora miałyby to być historia sekretna „Solidarności”. Moim zdaniem zamiar ten udał się tylko w połowie. Jest to obraz przeszłości widziany oczyma uczestników wydarzeń — heroizm przeplata się tam z komizmem, groza ze śmiesznością, a obok tego pełna paleta ludzkich namiętności, rozgoryczenia i zawiedzionych nadziei. Książka przedstawia wprawdzie — słowami świadków epoki — zdarzenia i fakty z historii „tajemnej” „Solidarności” — rzekomego „skoku przez bramę” i próby usunięcia Wałęsy, stosunku do Kuronia w pierwszych dniach istnienia „Solidarności”, porwania J. Dudy-Gwiazdy itd. Autor jednak nie stara się o pełną interpretację mechanizmów rywalizacji pomiędzy poszczególnymi grupami i frakcjami w Związku.

Drugim punktem odniesienia jest stosunek bohaterów Sierpnia do Wałęsy. Kim on jest? Co myślą o nim dzisiaj twórcy historii „Solidarności”? Czy jest to „mały stan” (G. Nawrocki) czy „wybryk historii” (A. i J. Gwiazdowie), „Danton, który nie przegrał” (K. Wyszowski) czy „superagent” (A. Walentynowicz). Zaletą tej książki jest to, że choć autor sam posiada sprecyzowaną odpowiedź, nie narzuca jej swoim czytelnikom, przedstawia również inne, alternatywne opinie.

Tak postawione pytanie, po przeczytaniu książki prowadzi do stawiania następnych. Co stanowi istotę zachodzących w Polsce przemian — czy jest to autentyczny upadek komunizmu, czy tylko jego transformacja połączona ze zmianą dekoracji. Jaki jest mój udział w tym wszystkim, co się obecnie dzieje? Na to pytanie czytelnik nie znajdzie odpowiedzi w książce, musi ją znaleźć sam. W tym celu warto jednak tę książkę przeczytać.

Krzysztof BRZECHCZYN

Grzegorz Nawrocki „Polak z Polakiem”, Wydawnictwo „Słowo”, Warszawa 1990.

BOHATEROWIE SIERPNIA

Zmiany polityczne w Polsce sprawiły, że na rynku księgarskim coraz obficiej pojawia się literatura pamiętnikarska poświęcona ostatnim dwóm dekadom historii Polski. Wspomnienia piszą teraz wszyscy — i komuniści i opozycjoniści. Pierwsi piszą, żeby rozliczyć się ze swoją przeszłością bądź przedstawić nowe argumenty na rzecz jedynie słusznej linii PZPR. Obecnych opozycjonistów można podzielić na dwie grupy

— na tych, co doszli do władzy i na tych, co znaleźli się poza układem. Wspomnienia pierwszych cechuje ciężka rozrzewnienia za tym, co minęło oraz próba obrony linii porozumienia. Najsłabiej objętościowo przedstawiają się wspomnienia „dysydentów” „Solidarności” — dominuje w nich przede wszystkim rozgoryczenie i oskarżenie konstruktywnej opozycji o zdradę. Książka G. Nawrockiego „Polak z Polakiem”

LIST OTWARTY

Wrocław, 23. 06. 1991

Minister Sprawiedliwości
Profesor Wiesław Chrzanowski
Aleje Ujazdowskie 11
Warszawa

Szanowny Panie Ministrze!

Z radością pragnę poinformować, że znalazły się wreszcie materiały dowodowe w sprawie łamania prawa przez obywatela Kiszczaka Czesława, byłego ministra spraw wewnętrznych PRL. Do tej pory wszelkie stawiane mu zarzuty były zwykłymi pomówieniami, nie popartymi żadnymi przykładami świadczącymi o tym, że były minister łamał, komunistyczne co prawda, ale było nie było, prawo.

Miał więc rację obywatel Michnik broniąc w telewizji generała Kiszczaka przed pomówieniami obywatela Jeglińskiego (zamieszkałego notabene poza granicami kraju) o to, iż generał Kiszczak wraz z innym generałem (nazwiska nie wymieniam ze względu na dobro śledztwa) miał jakikolwiek związek ze śmiercią księdza Jerzego Popiełuszki. Na całe szczęście, dla nas panie ministrze, są wreszcie konkretne dowody. Poinformował o nich „Gazetę Wyborczą”, której redaktorem naczelnym jest wspomniany powyżej Michnik Adam, wiceminister spraw wewnętrznych profesor Jan Widacki.

Sądząc, że wiceminister spraw wewnętrznych nie poinformował pana ministra do tej pory o tych dowodach spieszę z cytatem, który o tym donosi:

„Wszystkie podsłuchy zakładane przez SB były nielegalne. Instalowano je na zarządzenie ministra spraw wewnętrznych, bez zgody prokuratury lub sądu”. („Gazeta Wyborcza” nr 144 A, 22-23 czerwca 1991 r., str 3).

Podsłuchów tych założono, według ministra, kilkadziesiąt, w tym także w mieszkaniu Jego Świątobliwości Księdza Prymasa. Miłosierdzie chrześcijańskie wybaczy z pewnością generałowi Kiszczakowi, o ile okaże skruszę, te nieczne postęпки. Prawo jednak tak postąpić nie może. Dura lex sed lex. Generał Kiszczak złamał prawo, ponowien zostać ukarany.

Proszę pana ministra o dopilnowanie aby ten przypadek łamania prawa nie uszedł bezkarnie.

Z poważaniem

Zbigniew Jagiełło
ul. Szybowcowa 34/16
Wrocław

PS Listowi nadaję charakter otwarty. Otrzymują go także:

- 1) Prezydent PR - Lech Wałęsa
- 2) Prymas Józef Glemp
- 3) Adam Michnik - redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”
- 4) „Tygodnik Solidarność”
- 5) „Tygodnik” Porozumienia Centrum
- 6) Słowo Polskie
- 7) Dni - Tygodnik Kornela Morawieckiego

OSTATNIO

nasze artykuły przedrukowały:
„Niezależny Biuletyn Informacyjny”
nr 43 z maja 1991 /Portland Main -
USA/
„Myśli Polityczne” nr 10 z czerwca
1991 /USA/

UWAGA

Redakcja Tygodnika Kornela Morawieckiego, „Dni” poszukuje kolporterów na terenie całego kraju. Kontakt: Wrocław, ul. Kotlarska 41, tel. 382-36
Dla obrotowych znakomite zarobki

Wydawnictwo „WiS”

poleca w sprzedaży hurtowej i detalicznej książki drugiego obiegu i emigracyjne. Drodzy czytelnicy! To już ostatnia szansa by uzupełnić swe księgozbiory pozycjami wydanymi w historycznym już drugim obiegu.

Oferujemy następujące pozycje:

1/ Maciej Poleski (Czesław Bielecki): Mały demokracja. Wyd. Porozumienie Ponad Podziałami, W-wa 1990, s.64, cena 2000 zł.

2/ Kłosek: Konstanty Sanducci: Wielki Bleff (Rzecz o Gorbaczowie). oraz: Eric Laurent: Moskwa na Wall Street. Wyd. Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej, Wrocław 1989, s.71 + 160, cena 9800 zł.

3/ Julian Siedlecki: Losy Polaków w ZSRR w latach 1939-1986. Wyd. Agencja Wydawnicza Solidarności Walczącej, Wrocław 1989, s.404, ill, mapy, cena 19000 zł.

4/ Konfrontacje nr 7: Sowietский Союз. Wyd. Solidarność Walcząca, Poznań 1988, s.204, cena 4000 zł.

5/ Konfrontacje nr 9: Pokrętnie ścieżki. Wyd. Pomost, W-wa 1989, s.201, cena 4000 zł.

5/ Antoni Lenkiewicz: Kawalerowie Polski Niepodległej więzieni i zamordowani w PRL. Noty i szkice biograficzne od A do Z. Wyd. Agencja Wydawnicza Solidarności Walczącej, Wrocław 1989, s.53, cena 3200 zł.

6/ Józef Łobodowski: Cassandra jest niepopularna. Wybór publicystyki z „Orła Białego” z lat 1956-1980, Wyd. Wydawnictwo im. Lecha Zondka, Poznań 1990, s.63, cena 8000 zł.

7/ Rafał Gan-Ganowicz: Kondotierzy, Wyd. Petit, Gdynia, Solidarność Walcząca Oddział Trójmiasto, 1990, s.191, cena 15000 zł.

8/ Władimir Bukowski: I powraca wiatr...Wyd. Petit, Solidarność Walcząca, Gdynia 1990, s.317, cena 14000 zł.

9/ Władimir Bukowski: Pacyfiści kontra pokój. Wyd. Spotkania, Paris 1983, s.53, wyd. miniaturowe, cena 2000 zł.

10/ Marek Ciesielczyk: KGB - z historii rosyjskiej i sowieckiej policji politycznej. Wyd. Petit, Gdynia 1990, s.208, cena 15000zł.

11/ Afera alkoholowa - tajny raport NIK-u (zawiera m.in. spis zamieszanych w aferę spółek) Wyd. Wydawnictwo „WiS” cena 4000 zł

12/ Alistair MacLean: Cyrk. Wyd. Wydawnictwo „Mitel”, Gdynia 1990, s.203, cena 14000 zł.

13/ Janusz Rolicki: Edward Gierek: Przerwana dekada. Wyd. Wydawnictwo „Fakt”, Warszawa 1990, s.203, cena 10000 zł.

14/ Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Kariera Nikodema Dykmy. Wyd. Wydawnictwo „Mitel”, Gdynia 1991, s.279, cena 14000 zł.

15/ Ignacy Krasicki: Bajki. Wyd. Wydawnictwo „Mitel”, Gdynia 1991, s.80, cena 5000 zł.

16/ Jerzy Marcickiewicz: Obrachunki z systemem bolszewicko - faszystowskim w Polsce. Wyd. Wydawnictwo „WiS”, Poznań 1990, s.56, cena: 4000 zł.

W przypadku większych zamówień atrakcyjne ceny hurtowe.

Zamówienia prosimy kierować listownie na adres: Wydawnictwo WiS, ul. Gromadzka 23. 61-655 Poznań. Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym. Realizacja zamówień wg. kolejności zgłoszeń. Wszyscy, którzy zamówią powyżej pięciu książek otrzymają atrakcyjny prezent książkowy.



Numer zamknięto 10.07.1991 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje: zespół. Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59. Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, pon-piąt. w godz. 8- 18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności ul.Kotlarska 41 III p., tel. 38-236; Księgarnia „Drugi Obieg” Biblioteka Wojewódzka Rynek 58. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 6 kolejnych n-ów) — cena 18.500 zł za pojedynczy egz. i 12000 zł za każdy kolejny, np. za 2 egz. 18.500 zł + 12.500 zł. Prenumerata roczna (12 n-rów) — 63.000 zł za egz. pojedynczy i 39.000 zł za każdy kolejny. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratorka i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.